60.-

Biblioteka
Instytutu Badań
Literackich PAN

P. II. 428

NURT

PISMO POŚWIĘCONE KULTURZE POLSKIEJ

Rok II, Nr. III (IX)

M A J

1944

http://rcin.org.pl

Cena egzemplarza 10 zł.

TREŚĆ:

1. KRAKÓW
2. IDEE W KONTROWERSJI
3. POLSKA NA NOWO MUROWANA
4. KU TRZECIEJ WOJNIE
5. SPOJRZENIA:
   a) Banzaj
   b) Aneksja Bohaterów
   c) Słowo honoru
   d) Nieposkromione języki
   e) Julian Tuwim, jako polityk
   f) Legenda nie - legenda
   g) Czkawka idealistyczna
      czyli jak trwoga to do Boga

http://rcin.org.pl

NURT
PISMO POŚWIĘCONE KULTURZE POLSKIEJ

Rok II | Maj 1944 | № 3 (9)

KRAKÓW

Proroctw słyszeliśmy dużo od roku 1939. Najśmielsze jednak z nich padło z wawelskiego wzgórza, kiedy to obecny gubernator G. G., zatknąwszy na zamkowych wieżach znak czteroramienny oświadczył, iż prędzej stanie słońce w swym biegu, niż zniknie z zamku sztandar Rzeszy. Kraków, rzec można nie zmartwił się wówczas, ani zgniewał a tylko zdziwił niepomiernie. Historię swoją, pamiętał, wiedział, że na zamku byli czesi, szwedzi, moskale, prusacy i austriacy a słońce, jak wschodziło tak wschodzi i świeci więcej polakom, niż komukolwiek innemu... Fortuna variabilis, Deus mirabilis... To jednak, co można było rzec królowi szwedzkiemu nie uchodziło w stosunku do nowoczesnego dyktatora. Kraków powtórzył sobie w duchu historyczną anegdotę i... poczekał. Poczucie historii, tkwiące w jego murach uczyniło go bardziej cierpliwym od Warszawy. Ale też i spewnością więcej biernym i zdanym na łaskę Bożą. Katastrofę, która nań spadła przyjął z determinacją i przytłoczony z miejsca ogromną przewagą najeźdźcy, który, tu właśnie, stworzył sobie stolicę i ośrodek niemczyzny — przywarował, ustępując miejsca naporowi, bez aktów walki i bez dramatycznych sprzeciwów, ale też i tragicznych ruin i spustoszeń.

Sam bieg wydarzeń podyktował mu niejako ten system obrony. Bo kiedy Warszawa rozpoczęła swą historię wojenną barykadami, bombami i pożogą zniszczenia — Kraków widział nieledwie tylko defilady wkraczających niemieckich wojsk. Nie spadły nań i później bomby bolszewickie, nie spłonęło ghetto w tragicznym i beznadziejnym oporze. Niebezpieczeństwo zagłady przejawiało się tu raczej na wypychaniu polskości i cichym kruszeniu sił i podbieraniu ludzi. Taktyka obrony dostosowała się do formy ataku. Była mimo wszystko skuteczną, skoro dziś, w piątym roku okupacji i po pięciu latach najbardziej forsownego przerabiania miasta na rdzennie niemieckie, z użyciem wszelkich środków totalistycznej polityki — Kraków jest nadal polskim miastem a polskość jego góruje dziesięciokrotnie nad zaborcą. Jeżeli za punkt szczytowy nasilenia niemieckiego nie tylko na Kraków, ale i na całą Polską uważać rok 1943 — trzeba przyznać, że Kraków wytrzymał nałożoną na niego próbę. A przecież nigdzie, jak właśnie tu, nie czyniono tak wiele, aby udowodnić niemieckie prawa do polskiej ziemi.

Każde z miast polskich ma w tej wojnie osobną historię i każde żyje, cierpi i broni się inaczej. Każde uważa, że ma prymat cierpienia, lub con jmniej jego parytet. Żadne nie chce pomieniać się z innym. To dziwne odosobnienie powoduje, że Wilno, Poznań, Lwów, Kraków, Warszawa czy Łódź jest zamkniętym w sobie światem o psychice oblężonej fortecy, która nie ma zamiaru się poddać, ale już nie chce szukać wypadów na zewnątrz i nawiązywać łączność ze światem. Wieść, która przenika z jednego środowiska w drugie podobna jest do opowieści o czymś bardzo odległym i nie zawsze zrozumiałym. Poczucie ostrej granicy psychicznej, dziś swoistej zresztą nietylko ludzkim środowiskom ale i pojedynczym ludziom, sprzyja licznym nieporozumieniom i stanowi podłoże do nieprzemyślanych podejrzeń i sądów.

O legaliźmie, lojalności czy służalczości Krakowa wobec niemców opowiada się wiele i chętnie... zwłaszcza w Warszawie. Zapewne... Łatwość z jaką się tu używa niemieckiego języka, dokładność, z jaką wykonywuje się zarządzenia, cierpliwość wobec upokorzeń i uległość wobec rozkazów, zamazana granica pomiędzy Polakami a volksdeutschami i stammdeutschami, utrzymywanie stosunków z niemcami z Rzeszy — mogą razić czy nawet oburzyć warszawianina. Nie trzeba jednak zapominać, że relacje Krakowa z niemczyzną były o wiele ściślejsze i bardziej zazębione, niż Warszawy. Nie ma potrzeby sięgać aż w czasy niemieckiego mieszczaństwa i magdeburskiego prawa, o których Kraków zapomniał aż nadto gruntownie, bo i dziś jeszcze nie zrozumiał całego niebezpieczeństwa, związanego z przyjmowaniem kultury od najbliższego zachodniego sąsiada — wystarczy jednak przypomnieć żywe jeszcze wspomnienia zaboru austriackiego związanych z nim styczności z niemczyzną, — austriacką coprawda i cesarsko królewską, ale zawsze niemczyzną. Gdyby Warszawa znalazła się pod okupacją rosyjską i to nie dzisiejszą, czerwoną, ale tak różną od dawnej, znanej jej Rosji, jak różne są Niemcy Hitlerowskie od Austrii, gdyby przysłano jej, choć w innej służbie dawnych „sowietników" i „prystawów", kupców i essaułów kozaczych. — krakowscy eks radcy, c. k. urzędnicy i subalterni nie posiadaliby się zapewne z oburzenia, jak Warszawa wysługuje się moskalom. Brzmi przecież tutaj walc wiedeński niektórym uszom równie rozmarzająco jak romans cygański niektórym warszawiakom. Okazuje się bowiem, że wychowanie jednego pokolenia w atmosferze wolności nie starcza, aby zatrzeć ślady stuletniej z górą niewoli.

W szczególnych doprawdy warunkach spełniło

http://rcin.org.pl

się ukryte i zajadłe pragnienie krakowian, aby ich królewskie miasto stało się stolicą, do czego pono predystynowała je historia, majestat jego murów i rozważna, spokojna atmosfera życia. Ironja losu połączyła spełnienie marzeń z najsmutniejszym od wielu stuleci okresem w życiu miasta. To też nie ma poczucia stołecznej suwerenności nawet u najzajadlejszych lokalistów i życie płynie w dzisiejszym Krakowie małe i ciche, zamienione w historyczny szept. Nawet to, co było dumą krakowian i łechtało najbardziej ich próżność znakomitego środowiska: stan i wygląd historycznych murów Krakowa — nie cieszy ich, ani nie podnosi na duchu. I chociaż Kraków bezsprzecznie wypiękniał, i jest może co do wyglądu fenomenem na tle Europy objętej wojennym pożarem, chociaż odnowiono rynek krakowski i poskromiono w nim dom Szyszki Bohusza, który tak bardzo pieklił konserwatorów, chociaż uporządkowano dość pedantycznie i nawet ze smakiem stare miasto, choć oczyszczono wzgórze wawelskie z oblepiających je, obrzydliwych kamienic, choć poprzebijano na Kaźmierzu arkady i podcienia w czym niejeden ujrzałby dawniej spełniony sen o krakowskim „Rzymie" — nie ma już tej ufności i dumy, z jaką obywatele krakowscy spoglądali na swoje kościoły, gmachy i mury. Trochę zaufania poderwali niemcy swoim gruntownym dowodem niemieckości krakowskiego gotyku — trochę odczuto już namacalnie na własnej skórze, kiedy to przesiedleńcze zarządzenia niemców wyrzuciły polską ludność z nowoczesnych dzielnic, ubijając ją w czcigodnych nieraz, ale ciemnych, ciasnych i co tu gadać smrodliwych zaułkach. Honorowe historycznie mieszkania na Kaźmierzu, Florjańskiej, Szpitalnej, bez wanny i W. C., bez słońca i powietrza, choć czasem z pięknym widokiem na „portal", wieżę lub dach, zbliżyły chwalebną przeszłość na odległość ramienia, płuc, oczu i nosa i okryły przed krakowianinem wzgardzone zalety nowoczesnych czasów. Przymusowe wyżycie się w starożytności Krakowa, kto wie, czy nie będzie też miało odradzającego znaczenia na nastroje krakowian po wojnie.

Najbardziej „polską" jest dziś w Krakowie dawna dzielnica żydowska wraz z przyległościami. Przyjęcie nieśmiertelnych zdawałoby się, bo i wielowiecznych sklepików, straganów, warsztatów pożydowskich odbyło się szybko łatwo i sprawnie, jak i gdzieindziej w Polsce, tak, że idąc dziś Stradomiem, czy Wolnicą, po roku zaledwie przemiany, odnosi się wrażenie, że nigdy nie było inaczej. Nie ma tu jednak ruchliwości i energji, cechującej nowy żywioł drobnomieszczański Warszawy. Sklepik, sklep czy warsztat, w którym krakowianin rozpoczyna swój nowy życiowy start, jest dla niego raczej przystanią, a nie warszawską odskocznią dla zdobywania życia. Stoimy tu przed zjawiskiem, które, niezależnie od okoliczności wojennych jest właściwością lokalną. Krakowianin kalkuluje skromniej i ostrożniej, tak w życiu codziennym jak i wyjątkowej chwili. Na kolizje z porządkiem, chociażby i narzuconym, idzie niechętnie i lubi się czuć zabezpieczonym na wszelką ewentualność, tak, aby nie potrzebował się ruszać z miejsca. Ma ciężar statyczny wielki, kinetykę tylko konieczną. Kiedy idzie na ryzyko czyni to już z głębokiego przekonania. Dlatego mniejszą jest tu huśtawka cen, mniejsza gorączka wieści prawdziwych i fałszywych, rzadziej się słyszy strzały i detonacje, choć ofiar jest może całkiem nie mniej, niż gdzieindziej. Ale upór wewnętrzny, ów specyficzny upór krakowski, który kiedyś przejawiał się w nieprzejednanym lokalizmie a dziś nabrał patriotycznej wartości, jest duży i trudniej uchwytny, niż gdziekolwiek w Polsce. Może pod tym względem Kraków zbliża się do dzielnicy poznańskiej.

— Gdzie są te czasy? — myśli krakowianin, spoglądając na gmach Ikaca, oddany dziś prasie G. G. a przecież osowiały jakiś i pomniejszony, zepchnięty na drugi plan. Niema już ani Ikaca, ani braci Dąbrowskich a sprawa kolejki na Kasprowy czy też szosy do Zakopanego, niecnie pokpiona przez „warszawistów" — jakgdyby nigdy nie istniała. Raz tylko w dzień odzywa się hejnał z wieży marjackiej — słychać go za to częściej i na wszystkich rogach z megafonów ulicznych, przez co osłuchał się jakoś i zbrzydł. Są tacy, co przebąkują, aby mu po wojnie nadać inne brzmienie. Na kawie u Bisanza i piwie u Drobnera wysiadują niemcy. Tu mniejszy żal, bo jaka tam dzisiaj kawa i jakie piwo. Tradycyjny mecz Cracovia — Wisła który poruszał swego czasu nietylko umysły szerokich mas, ale i bardzo wybitnych obywateli a wznosił chmurę wrzawy nad cichymi Błoniami — niedzielny spacer do lasku wolskiego, weeckendowy wypad nad Dunajec czy w Tatry — okazyjny skok do Hawełki lub do Żywca, gazeta u „Sauera", partia bilardu w Secesji, prawo do miejsca na ławce przy plantach o oznaczonej godzinie i cały ten wreszcie nowoczesny duch, który tu wpadł ostatnio, wraz z festiwalami, koncertami, wystawami i zmodernizowaną turystyką — wszystko to urwało się nagle i ustąpiło miejsce klepaniu szarej biedy, połączonej z rekolekcjami, kto zawinił i dlaczego. Dominująca, jeszcze przed paru laty odpowiedź, że nas urządziła Warszawa już nie zadawalnia umysłów, zadających sobie coraz częściej pytanie, czy się tu jednak nie zanadto wygodnie i śpiąco nie żyło.

— Gdzie są ludzie dawnych lat?... Ani o nich słychać. Jeden Zygmunt Nowakowski przedwojenna duma Krakowa odznacza się zagranicą, prowadząc w Londynie przekorne walki, mniej dziś popularne wśród krakowian, niż te które wydawał Warszawie z łam Ikaca. Ha!... i jeszcze Bolcio Drobner, figura w Krakowie raczej pocieszna zadziwił nas zarówno, jako „patriota" polski i postać o znaczeniu międzynarodowym, dyplomatyzująca w Moskwie i przyjmowana w Londynie. O nim to krąży po Krakowie taki dwuwiersz:

Bolcio w Moskwie spiski knował
a niemiec mu szynk budował.

O innych cisza. Jeżeli się nawet dochowali, nie mają się czego „wychylać", chyba, że się już przerodzili w nową postać zjadaczy kartkowego chleba i mają miejsce za biurkiem w urzędzie czy instytucji, pracującej dla zwycięstwa, względnie dla utrzymania spokoju i ładu na tyłach.

A życie umysłowe Krakowa? Pieczęć na nim położyły tragiczne przejścia profesorów i uczonych uniwersyteckich w Oranienbaumie. Aż dziw, że dziś, w cztery już lata po tym tragicznym zdarzeniu żyje o nim w Krakowie mroczna i przygnębiająca legenda. Być może, że oprócz ciosu bezpośre-

http://rcin.org.pl

dniego, jaki spadł na ludzi starszych przeważnie i mało odpornych podziałał tu jeszcze i wstrząs, jakim było targnięcie się na uniwersytet, krakowski „sancta sanctis", którego nietykalność była podwaliną owego uczucia bezpieczeństwa, jakie dawała krakowianinowi świadomość należenia do kręgu kultury zachodniej. Nie należy jednak zapominać, że w pobliżu Krakowa mieści się jeszcze, nieustannie aktywny i zatruwający atmosferę psychiczną koszmar obozu oświęcimskiego. Słyszy się o nim w Krakowie więcej, dokładniej i częściej niż gdziekolwiek w Polsce. Każda niemal rodzina ma w nim lub miała kogoś ze swoich. Od niedawnych wreszcie czasów przybył jeszcze i drugi obóz koncentracyjny u samego boku Krakowa, dokoła wapienników Libana. Obóz ten rozrasta się i rozszerza, stając się jakgdyby drugim miastem i widmem zarazem stolicy krakowskiej. Mieści on, jako już pewnego rodzaju curiosum historyczne, kilka tysięcy żydów z dawnych ghett małopolskich. Ilu z nich zostanie do końca wojny? Na razie jednak żyją i zdzierają się przy wydobywaniu głazów wapiennych. Dostać się na wapienniki łatwo jednak i mieszkańcowi Krakowa. Wystarczy wpaść w ręce patrolu żandarmów po godzinie policyjnej, 9-tej, bardzo rygorystycznie tu pilnowanej. Nowy obóz podkrakowski jest „obozem przyszłości". Ostatnio wchłania on w siebie liczne transporty z „majdanka". Nową krainę cierpienia i śmierci nazwał Kraków „Libanonem" wykazując i tym razem wiedzę historyczną a także i szczyptę swoistego szubienicznego humoru.

We wieńcu obozów, podtrzymujących stare wspomnienie Oranienbaumu trudno w Krakowie o przelotne odprężenie ducha i przejawy temperamentu, jakimi zadziwia świat niezmożona Warszawa. Niezmąconego spokoju stolicy G. G., pilnuje tu zresztą nietylko i policja liczna i doborowa ale i nacisk ze strony niemczyzny, manifestujące przy każdej sposobności swe prawa historyczne i aktualne. Tylu defilad, przemarszów manifestacji nie widział rynek krakowski, jak długo istnieje. Potok ich wprawia w błąd niejednego przybysza z innych stron Polski, który, przywitany jeszcze tu i tam, przez dorożkarza, kelnera, balwierza, słowem niemieckim, odnosi wrażenie, że znalazł się w niemieckim mieście i dzieli się z nim skwapliwie z rodakami, rad, że może tym samym zaznaczyć i swój nieposzlakowany patriotyzm.

A jednak każdy, kto żył w Krakowie i zestawia lata okupacji, jedno po drugim, musi dojść do wniosku, że w walce nierównej i, jeśli chodzi o środki, niemal jednostronnej — zwycięstwo wewnętrzne jest po stronie żywiołu polskiego. Język niemiecki słyszy się coprawda na ulicach często i także z ust Polaków — ale panowanie jego w samym organiźmie niemieckim i licznych jego instrumentach, do urzędów włącznie, jest niezmiernie powierzchowne, tak iż język polski słyszy się wszędzie, nawet tam, gdzie się go najmniej spodziewa. Sprzyjają temu zjawisku liczni volksdeutsche i stammdeutsche, którzy przeszedłszy kursy umacniające ich wątłą i chwiejną niemczyznę wracają do tego, co im było bliższe i bardziej przyrodzone. O tych volksdeutschach krąży po Krakowie charakterystyczny dowcip. Pewien obywatel z Kresów Wschodnich, z Litwy czy Żmudzi, osiedliwszy się w Krakowie, tak, po pewnym czasie, ujął swoje zdziwienie: — Ot, dziwne miasto Kraków. Poznasz człowieka, nazywa się Górski, Kowalski czy Dąbrowski, onże volksdeutsch. Słyszysz, że Miller, Szmidt, czy Szulc onże Polak. — Nic lepiej, niż ta anegdotka nie ilustruje oportunizm z jakim odnieśli się do sprawy polskiej jedni, i głęboką jednocześnie wierność z jaką związali się z nią inni.

Ma zresztą Kraków od czasu do czasu i inne potrząsające nim widowiska. Na przedwiośniu tego roku ujrzał na swych ulicach gromadkę starszych kobiet i dzieci, prowadzoną w ogromnej asyście, uzbrojonych od stóp do głów żandarmów. Byli to członkowie czcigodnych, arystokratycznych rodów krakowskiej ziemi, pojmani na jednej z adriatyckich wysp, gdzie spędzali wojnę, oszczędzeni przez system faszystowski, aż do chwili, gdy załamały się Włochy i rządy objęło gestapo. Ze zdumieniem i żalem w sercu patrzał Kraków na swój pohańbiony patrycjat. Kto nawet żywił do niego „społeczną" nienawiść, nie opędził się przed współczuciem, widząc ile brutalności i siły użyto dla garstki słabych istot, starców i dzieci, w znacznej mierze już osieroconych. Lecz takim jest już system, taka skłonność niemiecka, ażeby pokazywać maksymum siły, tam gdzie się jej przeciwstawia minimum oporu. Czy można przypuszczać aby popełniany tu w stosunku do nas zwłaszcza psychologiczny błąd nie został doceniony i odpowiednio zrozumiany przez ludność polską Krakowa? Nie!... im więcej zewnętrznych przejawów niemieckiej siły, tym głębsze przekonanie polskie w kruchość jej podstawy. Krakowianin nie wątpi też w ostateczny wynik wojny. Jeżeli go coś przygnębia to raczej niepewność czy go sam dożyje.

http://rcin.org.pl

IDEE W KONTROWERSJI

„Gdy któryś z Gagarynów", opowiada Leonard Rettel, „oświadczył się z przyjaźnią Mickiewiczowi, ten odparł:

— Wierzę ci bardzo, że mnie kochasz, ale to tylko po prawej stronie Dźwiny, bo po lewej t. j. na Litwie i Rusi, nie wahałbyś się mnie otruć, gdyby tego wymagała wasza polityka.

— Ach, jak ty znasz Rosjan! — wykrzyknął Gagaryn".

Gdyby wszelka pamięć wiekowego sporu polsko-rosyjskiego w jakiś niepojęty sposób zdołała zaginąć, a pozostał ten jeden tylko drobny dialog, możnaby z niego odcyfrować całą istotę antagonizmu tych dwu narodów, a przynajmniej istotę postawy całego narodu rosyjskiego i jego państwowości wobec Polski. Noże tu tylko mówią. Tu niema ustępstw, niema wyrównania, niema układów nawet. Tu jest walka na śmierć i życie, w której Rosja nie wahałaby się — jak się nie waha i nie waha — przez zbrodnię choćby wytracić w Polsce co najszlachetniejsze, jeśli tego wymaga jej racja stanu.

Bezwzględność nigdzie nie spotykana w nie bardzo zresztą chrześcijańskich stosunkach między narodami. Zapamiętanie i zawziętość, mające w sobie coś niesamowitego, coś mistycznego niemal, nienawiść, której głębię wymierzyć mógłby wzrok tylko jakiegoś Dostojewskiego, bo zdaje się poza rdzennym Rosjaninem nikt jej pojąć i zrozumieć by nie potrafił. Taka postawa bezwzględnej negacji wobec tego, co Polską, usprawiedliwić, a raczej wytłumaczyć dałaby się tylko całkowitą, nieprzebytą obcością, stosunkiem, przypominającym „postawę" owych wellsowskich „ludzi z Marsa" wobec mieszkańców naszego globu, wykluczającą wszelkie porozumienie, co bowiem może być wspólnym językiem dla istot, które wytworzone zostały przez dwie odmienne planety? Pozostaje tylko obcowanie przez walkę, i w samej rzeczy walka ta trwa już od wieków, nie tracąc nic na napięciu i — tajemniczości. Można powiedzieć „tajemniczości", gdyż same tylko doraźne racje polityczne, społeczne i ekonomiczne nie są w stanie wyjaśnić w pełni jej istoty. Rosja posiada przecież wszystko, niezmierzone tereny, nieprzebrane bogactwa, niemałą siłę militarną, ustrój, jaki sobie sama wybrała i zdawałoby się nic jej np. zależeć nie może na skrawku ziemi stanowiącym wschodnią Polskę, który zmieściłby się niemal bez reszty w jakiejś jednej „obłasti" na wschodzie. A jednak coś jej kazało i każe iść „na podbicie reszty świata", jak głosi piosenka z „Kościuszki pod Racławicami", a przedewszystkiem na ową obmierzłą „Polszę", która choć tyle razy i tak strasznie rozgromiona, wciąż wydaje się godnym pognębienia przeciwnikiem, wciąż straszy upiorem — czego? Nie wiemy, jakie są zmory nocne władców Kremla, nie ulega jednak wątpliwości, że noszą one w dużej swej części kolory biały i czerwony.

Gdy zawodzą komentarze polityczne, społeczne i ekonomiczne, klucz do zagadki dają czasem komentarze z dziedziny — kultury. Tak, tu mieści się ów punkt archimedesowy, za którego sprawą wyważa się ze swych posad olbrzymia bryła „szóstej części świata", by runąć na wciąż nieposłuszną, wciąż czymś grożącą Polskę. Czym grozić ona może? Poprostu innym widzeniem świata, innym porządkiem wartości, innym odczuwaniem spraw tego, a i tamtego świata. Przytaczanie doraźnych przyczyn i uzasadnień historycznych tego stanu rzeczy jest chyba zbędne, gdyż są to sprawy zbyt dobrze znane, by je przypominać trzeba.

Kultura to sprawia, że Polskę i Rosję dzieli— mimo wszystkie słowiańskie wspólnoty — ten dystans, jaki dzieli Marsa od Terry. A wspólnota słowiańska, dzięki której otrzymywaliśmy tylekrotnie inwitacje do wlania się w wielkie morze słowiańskie, tylko uwydatnia ów przedział, nigdy bowiem dwa kosztowne kamienie nie błyszczą tak odmiennie, jak wówczas, gdy się je ułoży oba na jednej uwydatniającej je materii. Ta materia współplemienności pokazuje dopiero w całej pełni, że czym innym jest Polska a czym innym Rosja, że mimo wszystkie polskie klęski a przewagi rosyjskie, są to dwa twory równorzędne a przeciwstawne, jaśniejące obok siebie na ogromnym błamie Słowiańszczyzny. Zdawałoby się, że klęski powinny były przyćmić blask klejnotu polskiego, że powinny były nauczyć go skromności w świeceniu, ale cóż? — kiedy sprawa wewnętrznego promieniowania nie jest sprawą rozmiarów i wielkości, ale sprawą składu chemicznego, utajonej struktury krystalizacyjnej, jakichś głębokich procesów międzycząsteczkowych, sprawiających, że nawet w proch przemieniony kamień jest innym od tego, który w proch przemieniony nie został. Unicestwienie jest tu jedynym wyjściem. I o unicestwieniu nieprzyjemnego rywala myśli też zawsze wspaniały Orłow, świecący, jak dawniej tak i dziś, w berle władców Kremla. Dlatego też żaden Orłow czy Gagaryn nie wahałby się, wedle słów Mickiewicza — tak ostatnio wynoszonego przez rosyjską propagandę, gdyż rychło patrzeć, a zrobi z niego „istinno russkiego" poetę, jako syna sowieckiej Białej Rusi — a nie „brata-Słowianina", jeśliby to tylko doprowadziło do upragnionego celu rosyjskiej niepodzielnej samoobecności kulturalnej w Słowiańszczyźnie. Ale kultury tak łatwo zazwyczaj truć się nie dają. Łatwiej i pewniej je unicestwiać, o ile się unicestwić — pozwolą.

Jest jakieś głęboko tajone, czasem o inferiority complex, potrącające uczucie zazdrości w Rosjanach i Rosji — i to przy całej świadomości, iż się jest ową mikołajewską „szóstą częścią świata" — gdy przychodzi im zetknąć się z Polską. Nie zazdroszczą Czechom — bo i czego? — nie zazdroszczą jugosłowiańskim narodom i Bułgarii. Tylko Polska zaszczycona jest tym uczuciem, jedyna z ludów Słowiańszczyzny. I, powiedzmy, nie bezracji. Polska tworzyła i tworzy mimo wszystkie jej nieszczęścia i upadki polityczne, odrębny krąg kulturalny, drugi obok rosyjskiego w Słowiańszczyźnie, który posiada swój własny profil i swą własną problematę. Słuszność każe przyznać, że ów profil stworzyła ona dzięki swemu związkowi z Zachodem, ale ta sama słuszność przyznać też każe,

że korzystając z dorobku Zachodu zdołała ona ukształtować swe własne oblicze kulturalne w niezwykłej pregnancji, o czym najlepiej wiedzą — może jedyni wśród narodów Europy — sami Rosjanie. Wiedzą, i dlatego nienawidzą, zazdroszczą, ale nie lekceważą. Oni jedni też wiedzą — bo nie Anglicy, nie Francuzi, nie Włosi, a już najmniej Niemcy, którzy chętnie a głupio śnią swój sen o polskim „Bärenlandzie" — że Słowiańszczyzna tworząc dwie prowadzące kultury, stworzyła dwie idee państwowe: polską i rosyjską. Wiedzą, że między tymi dwiema ideami toczy się spór na słowiańskich rozłogach, i zdaje się nie pragną spocząć póki nie zostanie na placu tylko jedna. To jest jeden z tych białoczerwonych upiorów, które na Kremlu spać nie dają.

Przeciwności tych dwóch idei państwowych sformułować można w ogólnych zarysach bez trudu, choć jak wiadomo, wszystkie definicje kuleją. Rosyjska idea państwowa głosi, iż państwo jest absolutem, przeto urządzeniem nadrzędnym w stosunku do spraw i ludzi. Polska idea państwowa głosi, iż państwo jest relatem, przeto urządzeniem współrzędnym w stosunku do spraw i ludzi. Dwie idee jak ogień i woda, noc i dzień, Mars i Terra — dwa światy.

Jeśliby uciec się do jakiegoś obrazowego przedstawienia państwowości rosyjskiej — a wiadomo, iż mówienie przez „przypowieści" nie należy do najpodlejszych — powiedziećby można, że państwo rosyjskie, to mroźna i niebotyczna kopuła cerkiewna, zawieszona wysoko w powietrzu i usiłująca ogarnąć świat, z postacią Pankratora u szczytu, tkwiącego tam nieruchomo i obojętnie, jakby zaziemskiego, ledwie dostrzegającego mrowie ludzkie, snujące się gdzieś, w mrocznym dole, sprawującego na wyżynach swą nadludzką straż i władzę, gdyż władza nie jest rzeczą człowieka lecz bogów. Car (tytuł przyjęty przez książąt Moskwy w r. 1547 od chanów tatarskich), to Pankrator sam a zarazem symbol jego, to zwornik tej struktury mistycznej, widome wcielenie absolutu, ktoś rządzący tym światem, ale nie z praw tego świata, rosyjskiego istnienia prawdziwe „słoneczko", które wszystko oświeca ale wszystkiemu jest dalekie i obce, gdyż władza jest rzeczą bogów, a ludzie? — ludzie są jej nędznymi narzędziami, nieświadomymi jej dróg i celów, niezdolnymi nietylko oddychać lodowatym powietrzem absolutu, w jakim dokonują się jej jakby zaświatowe postanowienia, ale nawet przeczuć, co się tam na wysokościach odbywa. A tam na wysokościach, hoduje się bezcielesną czy nadcielesną ideę, ideę władztwa poczętego z absolutu, które samo jest absolutem, nie potrzebującym uzasadnień ni usprawiedliwień, gdyż, absolut uzasadnia się samym swym istnieniem i żadnego innego nie pragnie. Tej idei musi być podporządkowane wszystko, nawet sam jej najwyższy strażnik, i co ona zwiąże lub rozwiąże, to jest w tym świecie związane lub rozwiązane. Człowiek, jednostka? Czym może być wogóle cośkolwiek wobec absolutu? Niczym. Niczym jest też człowiek, co najwyżej rabem bożym, posłusznym knutem w ręku kata. Wolno mu milczeć i drżeć i padać na twarz, gdy mu padać pozwolą. Wolno mu ślepo wybijać pokłony — które niewiadomo, czy są bizantyjskiego, czy tatarskiego pochodzenia, w każdym razie wschodniego — wolno mu bić czołem przed tym, co jest niedosiężne, niedoczczone, bo jest to jedyna dostępna mu forma przystawania z absolutem, zarówno dla wielkich jak i małych. Ale nic ponadto. „Na kolana"! wołał do zbuntowanych dekabrystów Mikołaj I, świadom, że państwo jego, to rydwan absolutu, a władza nie jest rzeczą marzycielskich miękkoduchów ale bogów. Na kolana padał też naród rosyjski bezopornie. Nie dobrze czuli się wprawdzie w tej pozycji „zapadnicy", liberali, kadeci, ale lud czuł się dobrze, i nie im, którzy napróżno knuli zamachy na absolut, przyznały w końcu dzieje rację (jeśli to możliwe), ale najczarniejszym Pobiedonoscowym, słusznie zarzucającym swym przeciwnikom, że sprzeniewierzają się rosyjskiemu sumieniu ludowemu, i wiarę w absolut wymieniają na kolorowe fatałaszki z zachodniej „operetki". Pomylili się tylko w jednym owi przewidujący obrońcy absolutu. Prawdziwym celem rewolucji rosyjskiej nie było wzięcie rozbratu z absolutem, lecz wręcz przeciwnie, nawrót do absolutu, gdy carowie zaczęli go zdradzać, gdy pozwolili odzierać się z nimbu przedstawicieli nadludzkiej idei, poczęli liberalizować, chwiać się, kruszyć (dziś widzimy, że nawet Mikołaj I nie jest wolny od tego zarzutu).

I gdy ujrzano wreszcie, iż państwo przestało być naczyniem absolutu, gdy carowie zeszli na ziemię z kopuły mistycznej i poczęli przechadzać się wśród tłumu, nie jak bogowie, ale jak ludzie, rewolucja zmiotła ich, tych ludzkich carów — bo ludzki, arcyludzki był Mikołaj II! — i Rosja powróciła do swego kultu absolutu.

Tylko ślepcy i Anglicy nie widzą jeszcze, że bolszewizm, to ruch — konserwatywny, wywodzący się z najgłębszych pragnień ludu rosyjskiego, w najistotniejszym tego słowa znaczeniu narodowy, który przywrócił Rosji wiarę, jaką żyła ona od wieków: że państwo, to organ absolutu, sam urealniony absolut w ziemskiej dyspozycji carów. Gdyby nie ten grzech z wielu głównych najgłówniejszych: zwątpienie o swej półboskości — nigdyby Romanowów nie strącono. Ale strącono ich, każąc im ginąć za — Europę, i innych wyniesiono na tron Iwana Groźnego i Piotra Wielkiego, owego rewolucjonisty „na prestole", jak go nazywał Lenin, innych, którzy poczuli się w absolucie rosyjskiego władztwa jak w łęku, i nie myślą schodzić na ziemię, wiedząc, że ziemia przynosi wszystkim carom rosyjskim — śmierć. I po staremu zaświeciło nad Rosją mroczne słońce absolutu, i po staremu bije mu pokłony lud pokorny.

Inaczej Polska. Polska jest krajem Zachodu, to prawda, mimo że usiłuje w nas to chytrze wmówić pan Jędrychowski z moskiewskiego radia i moskiewskiego „Towarzystwa Patriotów Polskich". Znalazłszy się w atmosferze Zachodu, przyjęła ową grecką, z pod słonecznego Partenonu wiodącą się szczepionkę, humanitas zwaną, która przez Rzym podwójny, bo przez Rzym zachodniego chrześcijaństwa i przez zmartwychwstały Rzym antyczny Odrodzenia, przeniesiona została pod szare polskie niebo, by tu zaowocować krasnym jabłkiem polskiej wolności. Humanitas nie pozwala układać świata w abstrakcyjne linie absolutu, absolut sam jest bezmała jej organem, a kult jej, to kult swobody twórczej, to gaya scienza zachodniego człowieka który jak drzewo, „co wyrosło wolne", prostuje konary swych ramion w dobroczynnej ulewie słońca i w niemniej dobroczynnych choć surowych

http://rcin.org.pl

wichrach przeciwności. Zaiste, gdyby przyszła jakaś Paneuropa miała, dla zachodniej połaci naszego kontynentu obrać wspólny herb, powinnaby w nim umieścić tylko takie swobodnie rosnące drzewo. Wszystko więc też, co rosło, przemieniało świat w kaskadę blasków, ociekających po gałęziach, liściach, kwiatach, posiadało w Polsce prawo obywatelstwa, i jeśliby z czym porównać Polskę w architekturze, to nie z cerkiewną kopułą z Pankratorem w zenicie, ale równać należałoby z Wawelem, co też rósł przez wieki, puszczając wciąż nowe pędy, nie przycinane, nie duszone, aż się w nim dziś cudzoziemski historyk dopatrzeć zdołał śladów czterdziestu odmian stylu. Tak właśnie i państwo polskie rosło, rozwijało się, pomnażało, jak drzewo, sposobem wawelskiej „epopei kamiennej", jak się wyraził o krakowskim zamku Maks Dvorak, sposobem wszystkiego, co żyje a nie strzyżone nożycami absolutu i principiów. Znalazło się w państwie tym dość miejsca i na ludy różnorakie i na wiary odmienne, i na wszelaką mądrość i wszelakie szaleństwo człowieka, który zapewne! nie sięga absolutu i nie jest tworem monumentalnym, ale jest, jak głosi Roma aeterna, czymś na obraz i podobieństwo boskie, i w tym właśnie swoim podobieństwie jest wielkim i twórcą wielkości. Bo różne bywają wielkości i kto wie czy monumentalizm absolutu jest z tych wielkości — największą? Z tej to „wiedzy radosnej" bytu i człowieczeństwa, która nie jest tylko — wie to Zachód — wiedzą rozkoszy, ale wiedzą zmagań, i pracy tytanicznej choć swobodnej, i szturmów do nieba, wykwitły cnoty główne i grzechy główne Polaków, kulminujące w namiętnym przywiązaniu do osobowości i wolności. Dziś cnoty to osławione. Ale cóż, że jaśniejące to wówczas wszystką krasą jabłko zgniło w rękach Kalibana? Czy dowodzi to, że było spróchniałe lub robaczywe, gdy je zrywano z rajskiego drzewa Zachodu? Dłoń kalibanowa niejedno zepsuć może, i nie tak jednak źle sądzono o jabłku tym, gdy jeszcze wszystkich cieszyło oczy. „Raz wraz pędem, co koń wyskoczy" pisał Żeromski, „zmierzał ku granicom Polski jakiś kniaź Kurbski albo Gliński", uciekając przed widmem moskiewskiego absolutu, a raczej przed całkiem niewidmową praprababką wszystkich ochran i GPU, przesławną opryszyną. Raz wraz zbijały się ludy jak stado pardw u stóp polskiego majestatu, szukając tu schronu przed jastrzębiem, bijącym w nie od wschodu. Sława wolności polskiej, tak zetlała później, nie była czczą i próżną, gdy w granicach Polski, żyjącej mądrością tych, co stworzyli państwo Jagiellonów, powstała Matka Narodów, Najjaśniejsza Rzeczpospolita, Respublika „Rzymian północy" a zarazem pierwsze Stany Zjednoczone nowoczesnej Europy, wynurzywszy się z niepowszedniej myśli państwowej, która i dziś nie daje spokoju Kremlowi, czyniącemu dziwne łamańce, by i z „absolutu" rodzimego nic nie uronić, i zachować decorum najliberalniejszego commonwealth, wobec którego angielskie to pies.

Ale napróżno usiłuje „syn Wasilowy" przywłaszczyć sobie strukturalny kształt państwowości polskiej tak, jak niegdyś ukradł koronę polskich królów. Byłby to prawdziwie łup — Danaów, który gotówby rozsadzić monumentalny bunker - cerkiew absolutu, kto bowiem chce realizować ideę Matki Narodów, ten musi oprzeć się na wiernych jej synach, na człowieku, jak opierała się na nim Najjaśniejsza Rzeczpospolita.

A ów człowiek, o ile się tak nie wdroży,
Do cierpliwie i długo noszonej obroży,
Że wkońcu gotów kąsać — rękę, co ją targa,

wnet znajdzie drogę kniaziów Kurbskich i Glińskich, drogę, która trapi zapewne we śnie i dziś władców Kremlu, aż budzą się spotniali. I nie należy się obawiać, by kiedykolwiek ideą tą zakaziła się respublika absolutu. Zbyt jest ostrożna i wie może, że przyjąć myśl Rzeczpospolitej, to przyjąć Rzeczpospolitej fata. Bo Rzeczpospolita stała ale i padała humanizmem, a państwowość jej stała ale i padała człowiekiem. Aż upadła. Po wiekach świetności, kiedy na wschodnich rubieżach Europy królowała niepodzielnie, przyszły czasy upadku wielkiej humanistycznej tradycji polskiej, upadku człowieka polskiego, a z tym i upadku państwowości.

Nie znalazła jakoś u nas zastosowania teza wschodniego sąsiada, że człowiek może być mierzwa i śmiecie, ale państwo niepokalanym absolutem, i znaleźć nie mogła, gdyż zbyt demokratyczna, mimo wszystkie swe i straszliwe wady, była społeczność polska, i zbyt mocno związana była struktura państwa z wewnętrzną treścią obywateli. Jedna pozostawała tylko rada, stara rada Frycza Modrzewskiego: „Poprawcie myśl waszą..." i za tą radą poszli ci, którzy wreszcie otrząsnęli się i zrozumieli, iż tylko wewnętrzne odrodzenie całego narodu, tylko rehabilitacja człowieka w Polsce może uchylić grożące gromy. Czując, że gesta Polonae dokonać się mogą tylko przez sumienia Polaków, że napróżno utrzymywaćby jak Rosja dobrze wynagradzanych służalców, Fryderiksów, Benkendorffów, Nesselrodów i innych Stürmerów, którym powierzano montaż państwa absolutu, wrócono w dni zmierzchu polskiej państwowości do tych zasad, którym Polska zawdzięczała swą onegdajszą wielkość. Manifestem tego nawrotu była Konstytucja 3-go Maja, o której zresztą tuż przed wojną czytaliśmy w bardzo szanownym przez „narodowe" koła piśmie długi artykuł „historyczny", dowodzący, że była ona niczym innym jak tylko obyczajną intrygą masońską. W kołach sprawców tej to [illegible] intrygi znaleźli się ludzie, którzy wpadli na iście masoński pomysł, by cały naród Rzplitej stopniowo uszlachcić. Łatwo dziś uśmiechnąć się na to pobłażliwie. Lecz zamysł nie był w istocie swej tak śmieszny, gdy się zważy, że oznaczał on uświadomienie sobie, iż nie sposób zbudować civitas Dei, a choćby tylko Polonorum, na rabie na podczłowieku, na mierzwie, władanej przez dzierżymordów. I nie był zamysł ten gestem tylko, gdyż w „geście" tym dadzą się streścić całe właściwie dzieje porozbiorowe. Taka musi być przyszła, zmartwychwstała Rzeczpospolita — głosiła wiara tego czasu — by w człowieku nie był człowiek pohańbiony, by sprawy jego dokonywać się mogły w atmosferze godności i swobody, by nie był on niewolnikiem państwa, ale jego wolnym, świadomym twórcą codziennym. Cały wiek XIX-y stanowił w rzeczywistości okres wielkiego odrodzenia dawnego humanizmu polskiego i dlatego też romantyzm może być słusznie uważany za spadkobiercę w prostej linii Złotego Wieku nietylko w jego dziel-

http://rcin.org.pl

ności umysłowej, ale i w jego postawie etycznej, społecznej i państwowej, postawie, na której zbudowana być miała Rzeczpospolita. I pod tegoż to humanizmu sztandarami — zdradzanego nieraz niestety — weszliśmy w nową niepodległość.

I znów po wielu odmianach i „ukłonach", stanęły obydwa narody i oba państwa na tych samych okopach, na jakich przed wiekami postawiły je przeznaczenia: absolutu i humanizmu. Znów załopotały nad Słowiańszczyzną dwa współzawodnicze sztandary dwóch współzawodniczych kultur i państwowości, i poczęło się znów zmaganie, w którym Polska, w imię praw słuszności, dochodziła niczego innego, jak tylko faktycznego unicestwienia dzieła rozbiorów, jak swych praw do ziemi, mieszczących się od wieków w jej zasięgu kulturalnym. Trudno jednak było rozstać się władcom nowej Rosji z zaborami Katarzyny zwanej Wielką, trudno z niszczycielskim dorobkiem Mikołajów i Aleksandrów, gdyż mimo cały swój rewolucjonizm, uli się spadkobiercami carów, nową generacją strażników absolutu i jego kapłanami. Wnet też nie oni zapanowali nad rosyjskim państwem ale państwo rosyjskie zapanowało nad nimi, i kazało im, jak dawnym białym carom, ruszyć na podbój świata, zrazu oględnie, „pokojowo", rzeczby można kominternowo, potym zbrojnie, jako że państwo absolutu musi być imperialistyczne, sam bowiem absolut jest imperialistyczny, gdyż nie może ścierpieć ni uznać niczego, co stanowi odrębność, odmienność, różnorodność, na które niema miejsca w jego ogromnym, jednostajnym morzu. Dlatego, drogi władców Kremla dawnych i dzisiejszych, są zawsze te same. Są to drogi znakomitego protoplasty państwowości rosyjskiej i twórcy jej idei, Dżyngischana, który także był „uniwersalistą" i także świat cały obrócić chciał w jednorodny i jednoznaczny — step. W ogromne, monotonne pastwisko dla koni swych hord przemienić chciał Azję i Europę, i w ogromne, monotonne, marksowskie pastwisko dla stworów zwanych ludźmi przekształcić chce państwo absolutu krąg ziemi.

I oto pierwszą zaporą pochodowi tego sublimowanego stepu na zachód stanęła i stoi Polska. Niezliczone są grzechy państwowości polskiej i niezmierzone jej błędy; tak. Mimo te, z mocy swej tradycji i swej postawy kulturalnej reprezentuje Polska tu, na wschodzie, zachodnią, na humanizmie opartą ideę państwową, która nie żywi się deklamacją o człowieku, ale istnieje przez człowieka i dla niego. Jeśli natomiast chodzi o deklamacje o człowieku, to żadne chyba piśmiennictwo świata nie posiada ich tyle, co rosyjskie, dlatego zapewne, że najłatwiej i najdzielniej deklamuje się o tym, co jest nieobecne. Do rzędu tych deklamacji — typu socjalnego — należy też i owo „wyzwolenie" wszechczłowieka, które głosi i obwieszcza republika absolutu. Polsce takich gestów patetycznych nie potrzeba, gdyż człowiek zawsze był tu obecny, jako grzeszny coprawda i ułomny, ale mimo wszystko wolny twórca swoich losów i swego państwa, gdy człowiek Rosji, to, tak wczoraj jak i dziś, posłuszne narzędzie absolutu, bezosobowy wyznawca Pankratora i pokorny sługa upiora państwowości. Dialog staje się niemożliwy. I owa to odmienna gatunkowość psychiki, będąca dziełem długich przemian kulturalnych, sprawia, że nie zrozumiano się w listach wymienianych między Iwanem Groźnym a Stefanem Batorym, nie zrozumiano się za Jana Kazimierza, kiedy puszkinowskie poselstwo żądało ku zdumieniu dygnitarzy polskich „urzezania" głów pisarzy, nieprzychylnie wyrażających się o carze, nie rozumiano się, gdy społeczeństwu rosyjskiemu rzucono hasło „za naszą wolność i waszą", na które jedyną odpowiedzią było — milczenie, a już najtrudniej może zrozumieć się dziś, gdy Rosja uprawia wobec Polski najcyniczniejsze wiarołomstwo, uparcie trwa przy czwartym jej rozbiorze, a wzorując się na starej sprawie dysydenckiej, radaby na moskiewską, świeżo malowaną i dlatego lepką wolność nawrócić „reakcyjną" Polskę „panów", w rzeczywistości zaś odwiecznym, repninowskim sposobem ujarzmić ją i zatracić. Wtenczas niepodzielnie mogłaby przedstawiać sobą całą przynajmniej Słowiańszczyznę, zmienioną w „wielkie rosyjskie morze", w którym jak kamienie głucho potonęłyby mniejsze ludki słowiańskie, a które potym, w zaiste „wyzwoleńczym" zapędzie, wylałoby się na świat cały.

„Czy ty to rozumiesz"? w ten sens powiada w powieści Stan. Brzozowskiego „Sam wśród ludzi" jeden z odmalowanych tam Rosjan. „Zebrać hordy z krańców Azji, ze stepów kirgiskich i kałmuckich, z tundr Syberii i z pod bieguna, dać w ręce broń, podzielić w kolumny bez końca i rzucić na Paryż"? W tym chwalebnym dziele Polska, leżąca od wieków jak brytan u progu Zachodu, przeszkadza, i sprzeciwia się zamysłom rosyjskiego civitas jakoby Dei, w rzeczywistości zaś raba, rzuconego na kolana przed bezcielesną ideą państwowego absolutu. Wywołuje to raz po raz groźne marszczenie brwi władców Kremla i — Katynie. Starym, carskim sposobem, przez rzeź i Sybir, chcieliby nas wychować „do absolutu". Nie wiedzą tylko o jednym, choć zdaje się, że i wiedzą: po cichu, w skrytości ducha, każdy z ich poddanych, gdy znajdzie się sam na sam ze sobą (o ile to w Rosji możliwe) zazdrości nam tej „pańskości", która jest poprostu prawem do własnej biedy, i przemyśliwa, jakby tu odszukać ową drogę, którą kiedyś, przed wiekami, a i potem także, kniaziowie i niekniaziowie biegali w „Polszu". Niebezpiecznie żyć i najpotężniejszemu państwu z takimi marzeniami w sercu „wiernych" poddanych. Dlatego też republika absolutu radzi nad tym, jak urządzić świat, by nie było gdzie „biegać", a już najmniej do onej nienawistnej Polski. Bo może się to naprawdę jeszcze źle skończyć.

http://rcin.org.pl

POLSKA NA NOWO MUROWANA

Niejeden szlachcic widział Apollina
I Skopasową Milejską Wenerę,
A wyprowadzić nie umie komina,
W ogrodzie krzywo zakreśla kwaterę,
Budując spichlerz często zapomina
Że u ż y t e c z n e nigdy nie jest samo
Że p i ę k n e wchodzi nie pytając bramą.

Promethidion.

Przed żadną ze sztuk nie stają zadania tak ogromne, jak przed architekturą. Inne, jak malarstwo czy poezja, a nawet muzyka, są sztukami elitarnymi, dostępnymi mniejszym lub większym rzeszom wybrańców. Inaczej architektura. Jest to sztuka uniwersalna, sztuka „na ulicy", gdyż konsumowanie jej jest koniecznością dla każdego choćby przechodnia, bez różnicy stanu i wykształcenia, którego tylko fatalność nie oderwała od normalnego istnienia. Wielkich i małych, mądrych i głupich kształtuje architektura obecnością swych tworów i w każdym członku społeczności, bez wyjątku, stwarza pewne doznania psychiczne, które stają się istotnymi składnikami powszechnej kultury danego narodu czy społeczeństwa. Kulturo - twórcze i wychowawcze znaczenie architektury w działaniu swym poza — i bezklasowej, jest więc olbrzymie i z tego też względu, pomijając nie mniej ważną stronę praktyczną, znaczenie jej jest niebywale doniosłe, tej „sztuki dla wszystkich". Ona stwarza oblicza krajów, nie mówiąc o tym, że w sposób niewidoczny niemal, bo codzienny i powszechny tworzy też ich wnętrze, ich duchową zawartość. I warto o tym nie zapominać, gdy się myśli o przyszłej odbudowie kraju naszego, t.j. o stworzeniu jego materialnego, a przez to i przytym duchowego oblicza.

U nas dołączają się do tego posłannictwa architektury pewne specjalne momenty. Słowo „odbudowa" jest u nas właściwie wiecznie aktualne. Raz po raz wyniszczały nas wojny, tak, jak wyniszcza obecna, i ciągle stawał kraj przed zagadnieniem odbudowy, w części tylko mogąc zaskiepiać zadane rany. Bez przesady powiedzieć można, że ci, którym przyjdzie teraz Polskę odbudowywać, będą musieli odrabiać dzieło zniszczenia nietylko ostatniej wojny, ale i poprzedniej, nawet napoleońskich, a może i szwedzkich. Ileż to bowiem miast w Polsce popadło w tych wiekach w ruinę i nie wróciło do dawnego stanu, świecąc żałosnymi resztkami, jak owe kamienice renesansowe w Kazimierzu. A przecież urbanistycznie biorąc, zniszczenie samej architektury nie stanowi jeszcze całkowitego zniszczenia miasta. Miasta nieraz po katastrofach odbudowywały się w planach swoich, naszym jednak nie przypadał ten los w udziale. Zarastały wytrzebione ulice, zmieniał się kształt miasta i znakomity nieraz gród przekształcał się w zapomnianą wiosczynę. Odbudowa, która nas czeka, raz w raz będzie się musiała spotykać z czymś podobnym i dlatego goić jej przyjdzie prawdziwie wiekowe rany.

Tym ranom, zadanym przez wroga, towarzyszą u nas inne jeszcze rany, zadane przez swoich. Nie można powiedzieć, by miasta w dawnej Polsce znajdowały się w szczególnie dobrych warunkach i dlatego też wróg nie potrzebował się zbytnio wysilać, by je wyniszczyć. To jednak, co zostało, padało jeszcze niejednokrotnie ofiarą „burzymurków", których działalność np. w Krakowie (w XIX wieku) zaciążyła miastu temu niemało. Quo non fecerunt barbari, to robili swoi, nie stwarzając na to miejsce nic, albo rzeczy bez wartości. W ten sposób oblicza miast i tak zazwyczaj niezbyt wyraźne, wykruszały się, niszczały. A oblicza te nie bardzo przypominały oblicze Rouen czy Norymbergi. Słabe mieszczaństwo polskie słabo je kształtowało, a tylko w większych miastach dodawały splendoru ich wyglądowi pałace możnowładców, które też zresztą często i łatwo szły w ruinę. Zresztą nie bardzo baczono, by tworzyły one jakąś całość architektoniczną, o pewnej urbanistycznej logice i kształcie, i jeszcze w XVIII-tym wieku przyjeżdżający do nas Francuzi dziwili się, że obok wspaniałych pałaców, w najbliższym ich sąsiedztwie, kuliły się nędzne, zapadłe domki i chaty. A obserwacje ich odnosiły się zarówno do miast, jak i wsi, dawne zaś widoki Polski, choćby Canaletto'a czy starego Norblina, obserwacje te potwierdzają. Stosowano więc u nas architekturę i korzystano z niej bardzo — indywidualnie. Dzięki warunkom społecznym brakło zazwyczaj miastom nasz jakiejś wiążącej myśli ogólnej, urbanistycznej, a przypadkowym zachciankom i potrzebom osobistym zawdzięczały one swój nieskoordynowany wygląd. Rozbiory Polski pogłębiły tylko ten stan rzeczy. Kraj rozpadł się na trzy dzielnice, z których każda z biegiem czasu poczęła odbywać swą własną ewolucję architektoni zno - urbanistyczną. Ginęło niejednokrotnie piękne rodzimę budownictwo drewniane, łatwo przecież zniszczalne, a jego miejsce zastępowało albo „solidne" budownictwo na obcą modłę, albo nawet nic. Wystarczy dziś jeszcze porównać miasteczka w Poznańskim i Królestwie, by przekonać się, jak głębokie przemiany dokonały się w tym względzie na naszych ziemiach. Jeśli w Wielkopolsce nagminnie pojawiły się wówczas użytkowe budowle wzorem zachodniego sąsiada, to w Królestwie i na kresach osiedla takie dochodziły do stanu wręcz rozpaczliwego. Rosjanie nie bardzo się tym przejmowali, a gdzie mogli jeszcze co wytracić z nienawistnej architektury zachodu, jak np. stare kościoły na kresach, to czynili to con amore. Wbrew

http://rcin.org.pl

ich woli rozrosła się właściwie tylko Warszawa i Łódź, ale jak, o tym wszyscy aż nadto dobrze wiemy. Oblicza miast i miasteczek w zaborze rosyjskim powoli, ale stale, nabierały wschodniego kolorytu, i w ten to sposób Polska zaczęła, architektonicznie biorąc, rozpadać się na trzy dzielnice, przyczym Małopolska stanowiła coś pośredniego pomiędzy Poznańskim a ziemiami pod zaborem rosyjskim. To samo już uzmysławia nam, że przed architekturą polską staje w najbliższej przyszłości zadanie nietylko odbudowy zniszczonego, ale by tak rzec, wybudowy. Wybudowy własnego oblicza architektonicznego, zarówno urbanistycznego, jak i ruralistycznego, choć wieś może nie w tym stopniu odczuła katastrofę, jaką architektonicznie przeszły ziemie polskie w XIX-tym wieku, jak miasta nasze, szczególnie „z pod Moskala". Zadania to właściwie ogromne, przechodzące zadania samej odbudowy, z którymi spotkał się u nas ten tylko może, który zastał Polskę drewnianą, a zostawił murowaną, a z której nb. niewiele zostało. Z drugiej jednak strony, czy to rzecz nie godna uwagi, że architekci, którzy będą prowadzić nietyle odbudowę, co budowę Polski, będą musieli raz po raz pomykać myślą do — Kazimierza Wielkiego? Zaiste możnaby sądzić, że nic w historii nie ginie. Tylko niejedno z naszych miast świadczy o czymś innym.

Olbrzymia ta praca stoi już niejako u naszego proga. Trzeba będzie odbudować, co zostało zniszczone, wypełnić zamierzone programy inwestycyjne, którym w drogę weszły lata ostatniej wojny, trzeba będzie wreszcie dać rozpęd do dalszej rozbudowy (niewiadomo dlaczego na słowo „rozbudowa" wszyscy się krzywią?) dla zaspokojenia licznych potrzeb: mieszkaniowych, szkolnych itd. A podjąć tej pracy nie będzie można bez pewnego „pionu ideowego", który muszą wypracować nasi architekci i budowniczowie, rozumiejący zarówno przeszłość, jak i przyszłość. Zadanie prawdziwie niemałe, wręcz gigantyczne.

Owym pionem ideowym nie może być nic innego, jak uświadomienie sobie, iż uwzględniając realne i prawdziwe potrzeby społeczeństwa, architektoniczni twórcy nowej Polski zobowiązani są nadać budownictwu polskiemu, miastom i wsiom polskim jaknajszerzej pojęte, ale własne, odrębne oblicze. To znaczy być rzeczywistymi twórcami; nie dzielnymi kopistami, naśladowcami, ale twórcami. Zadanie to, raz jeszcze powtórzyć warto, olbrzymie: na ciele polskich potrzeb stworzyć polskie natchnienia i polski kształt architektoniczny dla wsi i miasta. Natchnienie, owo niewymierne natchnienie, jest słowem, które w związku z tym podkreślić należy nie dlatego, by lekceważyć pracę, ale, by nie lekceważyć — natchnienia. Nie można zasiąść i wymyślać stylu narodowego. Nie można go robić na obstalunek. Nie narodzi się on nigdy w retorcie, nawet w retorcie najlepszej woli i chęci. Tu trzeba natchnienia, które nie na kamieniu, ale z wytrwałej, śmiałej pracy się rodzi, trzeba tego niebywałego wysiłku psychicznego, który, jak mówi Norwid „aż w psalm się leje", by w dziele twórcy - architekta przejawił się ów nieuchwytny pierwiastek duchowy, który sprawia, że w danym tworze jest on — twórca, jest jego społeczność, jego naród, jest Polska, a nie coś tam obcego i skłamanego. Oczywiście kołaczy natchnienia, wiemy to, nie otrzymuje się bez pracy. Wiemy też, że nawet kultury wielkich krajów, jak Anglii, czy Niemiec choćby, nie zdołały w ciągu dziejów stworzyć własnego kształtu architektonicznego, gdyż romanizm i gotyk i renesans i barok i rokoko i empire stworzyły inne kultury. Mimo to jednak nie można przyjąć rezygnacji zarówno z prawa do natchnienia, jak i z prawa do wysiłku, szczególnie, gdy się zważy, jak osobliwa chwila zachodzi polskiemu budownictwu drogę i że „teraz albo nigdy" stanęło przed architektami naszymi; niewiadomo bowiem, czy kiedykolwiek w dziejach zdarza się jeszcze taki moment, by w tym stopniu można było kształtować dotykalne oblicze Polski, ujawniając zarówno zdolności plemienne, jak i osobiste, co jutro. Można zaś uczynić to tylko, wychodząc z celowości projektowanych i realizowanych budowli, których architektura poprzez celowość i konstrukcję wypływać będzie z technicznych wartości danego materiału, uwydatnionych zastosowaniem i predystynujących możliwości techniczne. To jest prosta, jedyna, a nie łatwa droga, droga tego, który „dłońmi ziemią bronzowymi", jak mówi wielki poeta, wydźwiga ze siebie kształt swój duchowy, formuje swą widzialność, swą sztukę, swą architekutrę. I innej drogi — niemasz. Tylko ta: przez pracę do natchnień, przez natchnienia do dzieła. I tylko tak odbywa się organiczne narastanie, które zarówno w sztuce, jak i czym innym gwarantuje swoistość i prawdziwość, innymi słowy — oryginalność.

Tylko tą też drogą może się dokonać to, co nazwano tu stworzeniem oblicza architektonicznego, a co wymierzone jest nie w szczegół, ale w całość. Całość rozstrzyga o walorze wszystkiego, z niej wyjść i poprzez wszystkie trudności jej dać kształt należy. I to zarówno w dużym, jak i w małym, gdyż ona jest tym, co stwarza dominantę, rozstrzygającą o charakterze, o obliczu. Dlatego też wszystkie sprawy odbudowy i budowy trzeba traktować z urbanistycznego punktu widzenia, a nie pod kątem genialnych choćby „rejzbretowych" wyjątków, kłócących się z całością. Zarówno zaś nauka, jak i praktyka wskazują, że takie ujęcie jest jedynym, jakie dziś — i nietylko dziś — przyjąć należy i można. Trzeba projektować domy jako bryły, ulice jako zespół bloków złożonych z zaprojektowanych domów, a tworzących w tym zespole pewną określoną, zharmonizowaną całość. Trzeba projektować i widzieć całe place, całe dzielnice, czasem całe osiedla i nie może być wykluczonym, by czasami projektów takich całości nie wykonywał jeden architekt, który oczywiście nie może ich obdarzyć nudą, ziejącą z tylu dokonań niedawnego budownictwa. Lecz zazwyczaj bywa to nad siły jednego człowieka. Dlatego uciec się należy do metody pracy zespołowej, nie obcej zresztą budownictwu za jego świetnych czasów, jak np. gotyku. Pod ogólnym kierownictwem jednego, inni architekci opracowywać winniby szczegóły, a jedyną ambicją wykonawców stać się wtenczas winno nie znakomite nazwisko, ale: dzieło. Takie podejście staje u progu nowej, choć starej moralności twórców. Nie ja, głosi ta moralność, ale dzieło. Spółdzielnia staje się w ten sposób ideowym fundamentem prac, a zarazem aparaturą wykonawczą, umożliwiającą wskutek podziału czynności najoszczędniejszą gospodarkę materiałem ludzkim, przejętym od góry do dołu moralnością odpowiedzialności za całość, gdyż blok albo plac, albo

http://rcin.org.pl

dzielnica, to już nie jedna fasada wśród domów szeregowych, mająca świadczyć o czyjejś tam „genialności". Jako system pracy, praca zespołowa miałaby szczególnie dodatnie znaczenie na prowincji, a jeśli nawet zrazu tendencje te nie wyrażą się w formie istotnej współdzielczości, to jednak zastosowanie ich, szczególnie w okresie mobilizacji sił pracowniczych, może oddać znakomite usługi. Ten nowy duch współpracy musi objąć nietylko tych, co projektują, ale i tych, co projekty zatwierdzają oraz tych, co kontrolują wykonanie, gdyż na każdej z tych instancyj spoczywa odpowiedzialność za dzieło. Nigdzie nie może znaleźć tu miejsca rutyna, doktryna, a więc zastój, ten największy wróg wszystkiego, co twórcze i żywe, i pamiętać należy, że niema rozwiązań obowiązujących absolutnie, a każda nowa możliwość, nowe warunki wymagają rozwiązań nowych. Trzeźwa ocena warunków w połączeniu z wolą i pasją twórczą, to dopiero daje pewność, iż ten, kto tworzy kształt architektoniczny, nie minie się z życiem i nie da się zwabić choćby nawet na bardzo nęcące manowce.

Byłoby jednak błędem architektury, gdyby zechciała uwierzyć w swą jedyność i samowystarczalność z pominięciem innych bratnich sztuk, jak rzeźba czy malarstwo. Sztuki te mają dziś niewątpliwie własne cele, lecz fryzy Partenonu czy freski kościoła w Assyżu świadczą dowodnie, jak ścisła więź łączyła sztuki te i łączy z budownictwem. Rzeźba i malarstwo mają więc prawo głosu w budownictwie, ale mają go w granicach — całości. Ten wzgląd na całość nie pozwala na późniejsze doczepianie zdobienia budynków, na samowolną architekturę pomników, gdyż wszystko musi być poddane rytmowi całości i organicznie tworzyć kompozycyjną całość. I dopiero przejęte duchem tak pojętej całości architektura i budownictwo spełniają swą ważną służbę społeczną zarówno przez swą stronę utylitarną, jak i idealną. Prawdziwie odbudowa kraju może się stać zdarzeniem o niezwykłym znaczeniu społecznym i wychowawczym, faktem przekształcającym naszą psychikę i umożliwiającym jej wzniesienie się na wyższy stopień istnienia. Może i powinna.

Aby jednak sprostać tym zadaniom, trzeba wielkiej i wytężonej pracy organizacyjnej, która pod przewodem myśli głównej, idei, potrafiłaby zapewnić planowy rozwój, obliczony na etapy, posiadające giętkość w przystosowaniu się do narastającego doświadczenia, do wzrostu potrzeb i ciągłego postępu, która umożliwiłaby maksimum wydajności, zdołała wciągnąć w orbitę pracy nad odbudową najszersze warstwy społeczne, bez oglądania się na rząd, — temu i tak do spełnienia przypadnie niemało — zapobiec niezdrowej spekulacji, wyzyskowi, mogącym ogarnąć tak architektów, jak wykonawców i wytwórców oraz samo społeczeństwo, a w rezultacie zatruć atmosferę i zaprzepaścić dzieło odbudowy — jednym słowem, która zdołałaby zaspokoić potrzeby zarówno miast, jak i wsi, umożliwić uprawianie szeroko i racjonalnie podjętego urbanizmu i w tej samej mierze ruralizmu, przy oszczędności, wynikającej z najdalej posuniętej celowości, przy jednoczesnym wysokim poziomie artystycznym i technicznym. Z tym łączy się sprawa stanowiska społecznego architektów i innych pracowników budowlanych, sprawa szkolnictwa i specjalizacji, utworzenie odpowiednich władz i instancyj budowlanych. Wreszcie last not least z tym wiąże się też sprawa ogromnej wagi, jaką jest nietylko konserwacja, ale i napełnienie nowym życiem zabytków architektonicznych, gdyż, jak mówi Mickiewicz „gotując się do przyszłości, potrzeba skierować się myślą w przeszłość, ale o tyle tylko, o ile człowiek, gotujący się do przekroczenia rowu, wraca się w tył, aby się tym lepiej rozpędzić".

Przechodząc do szczegółowego nietyle omówienia, ile raczej zaznaczenia kwestyj powstających w związku ze stekiem wyliczonych spraw, zacznijmy od organizacji władz i instytucyj budowlanych, jaka wobec ogromu prac okaże się niewątpliwie konieczną. Oczywiście w obliczu tych zadań nie może być miejsca na władztwo laisser-fairyzmu, a odbudowa kraju musi być sprawą Głównego Urzędu Ogólnego Planowania Odbudowy Kraju, istniejącego przy najwyższych władzach Rzplitej, pod kierownictwem fachowca, nie polityka, wiceministra, który powinien mieć za swego zastępcę wybitnego architekta-urbanistę, o ile sam byłby np. ekonomistą. Tej instancji podlegałby całokształt spraw odbudowy, ona zatwierdzałaby wszystkie sprawy budowlane państwa, bez wyjątku (aby nie było po dawnemu: jeden do Sasa...). Urząd ten miałby inicjatywę ustawodawczą i jemu też podlegałyby sprawy towarzystw wyższej użyteczności publicznej. Jako organ doradczy działałoby przedstawicielstwo fachowe, złożone z profesorów wyższych uczelni oraz innych wybitnych fachowców, a także artystów, przedewszystkiem architektów; chodzi przecież o sztukę, jaką jest architektura. Ze względów praktycznych szczegółowe projektowanie pozostawałoby w fachowych wydziałach poszczególnych ministerstw, co do pewnego stopnia uchroniłoby przed jałową centralizacją. Kontrola techniczna winna się mieścić, jak przedtym, w departamencie technicznym M. Spr. Wewn. Tak wyglądałby organizacyjny schemat instancyj. Wydajność tak ujętej pracy zależna byłaby od wielu czynników. Przede wszystkim od racjonalnego zaplanowania i kierowania odbudową przez Urząd Planowania, przyczem należałoby wychodzić od całości zagadnienia, obejmującego cały kraj, a równocześnie z jednakową pieczołowitością traktować potrzeby każdego choćby miasteczka i każdej wsi. Ważnym czynnikiem byłoby zorganizowanie produkcji i dostawy materiałów, może drogą ustawy, pod kątem dobra publicznego. Trzebaby ponadto zorganizować należycie wykonawstwo, aby uniezależnić się od niezdrowej spekulacji i nadużyć oraz strajków, przyczem szczególną wagę położyć należy na przedsiębiorstwa o charakterze spółdzielczym, jako zbliżonym do prac odbudowy przez swą pracę zespołową. Być może, iż zamiast obowiązkowej służby wojskowej należałoby wprowadzić roczną służbę pracy powszechnej na analogicznych zasadach, może obok służby wojskowej. Takie zorganizowanie pracy pociągnęłoby za sobą poważne skutki. Przede wszystkim posiadałoby poważne momenty wychowawcze, uczyłoby samodzielnej inicjatywy i organizacji pracy zespołowej, obywatelskiej, bez wiecznego oglądania się na rząd, który jakoby wszystko ma zrobić i być odpowiedzialnym za każdą niedokładność. Sprzyjałoby równomiernemu rozwojowi kultury w całym kraju, bogacąc twórczość różnorodnym podejściem do tych samych zagadnień, co znów zapobiegałoby skostnieniu, ru-

http://rcin.org.pl

tynie, karierowiczowstwu urzędników. Zmusiłoby wreszcie całą społeczność do wytężonej pracy razem z rządem, zaś kooperacja zamierzeń oraz osiągnięć, opartych na zasadzie współdziałania, nie współzawodnictwa, wyrobiła w społeczności poczucie odpowiedzialności — indywidualnej i zbiorowej — wobec narodu za niedociągnięcia i lekkomyślność.

By wykonać tak ogromne prace, trzebaby, u samego początku, przeprowadzić mobilizację sił zdolnych do pracy, na sposób wojskowy, a wszystkie sprawy odbudowy potraktować jak sprawy użyteczności publicznej. Zapobiegałoby to niezdrowej spekulacji pragnących szybko się wzbogacić, mogłoby jednak w pewnej mierze uchodzić za ciężar, szczególnie, gdy inicjatywę prywatną narazie wyłączonoby albo sprowadzono do minimum. Stworzonoby jednak w ten sposób armię budowlaną, która uwolniłaby społeczeństwo od skomlenia o zapomogi, o darmochę, a przejęłaby całokształt prac, poczem dopiero planowo i stopniowo możnaby na różnych odcinkach przekazywać pracę organizacjom powstałym na zasadach spółdzielczości. Wszystko to pozwoliłoby na dużą, a tak potrzebną nam oszczędność, która znalazłaby poparcie także w inicjatywie samych architektów, przyczem nie trzeba by szukać aż wzorów w architekturze „katalogowej", świadczącej tylko o lenistwie myśli i o... uleganiu interesom przemysłu. Wysoką kulturę i artyzm rozwinąć można zawsze najprostszymi środkami, byle materiał był dobry i dobrze użyty.

Plany tej odbudowy musiałyby być oczywiście pomyślane jaknajszerzej i jak — najrealniej. Nie mogłoby być miejsca na cierpienie budowania tandetnych szatr, mających niby to na parę lat zaspokoić pilne potrzeby, a w rzeczywistości zapaskudzających życie przez długie dziesięciolecia. Nie byłoby też miejsca na uprzywilejowanie miast. Odbudowa wsi musi być potraktowana narówni z odbudową miast, przemysłu itd., a ruralizm musi tu obowiązywać tak, jak gdzie indziej urbanizm. W szczególności zwrócićby należało uwagę, by podczas komasacji itp. nie tworzono rozrzuconych dowolnie gospodarstw, ale aby projektowano osiedla, dające wszechstronne zaspokojenie potrzeb ludności wiejskiej. Przyjąćby też należało pewien minimalny, a racjonalny punkt wyjścia dla określenia charakteru odbudowy każdego miasta i wsi, zgodnie z ich miejscową tradycją, co też na wsi, wobec kilku historycznych typów wsi, odgrywałoby dużą rolę, przyczem dla poszczególnych okręgów należałoby uwzględnić ich lokalny charakter budownictwa oraz dostosować rodzaje materiałów budowlanych i ich produkcję do charakteru artystycznego, właściwego danemu krajobrazowi. Baczyć wogóle należy, by rodzaj materiałów, ich wykonanie oraz wygląd zależne były od wymagań technicznych i estetycznych architektury, nie zaś od spekulacji wytwórców oraz reklamiarstwa.

Ogromną rolę przy realizowaniu tych zamiarów odegrałoby szkolnictwo zawodowe, które w grubym zarysie wyobrazić sobie można, jako czterostopniowe. Zasadą, gdy chodzi o szkolnictwo niższego typu, być musi to, że uczeń nie powinien nigdy być oderwany od praktyki, a praktyka i studia teoretyczne winny pomagać mu w równej mierze do osiągnięcia coraz wyższego poziomu zawodowego. Za tym przemawia i to, że kraj będzie potrzebował jaknajwiększej ilości fachowców natychmiast niezbędnych, gdy tymczasem szkoła o przewadze teoretycznej ma skłonność do absorbowania swych wychowanków na swój wyłącznie użytek i wypuszczenie ich dopiero po wielu nieraz latach. Pierwszy stopień stanowiłaby Szkoła Rzemiosł Budowlanych, gdzie uczniowie wdrażaliby się już w swój zawód i zapoznali się już ze spółdzielczością, jej duchem i praktyką. Licea Budowlane, jako stopień drugi, musiałyby być nastawione w kierunku praktycznego wykształcenia pomocników architektów itp., a nawet samodzielnych kierowników robót w terenie, przyczem program nauczania powinien ściśle uwzględniać zdobycze uzyskane przez ucznia na stopniu niższym, co, niestety, dotychczas nie było w dostatecznej mierze stosowane. Trzeci stopień stanowiłoby nauczanie na Politechnice, wymagające zresztą poważnej reformy. Czwarty natomiast i najwyższy reprezentowałaby Akademia Architektury, przeznaczona już dla dyplomowanych architektów i specjalnie uzdolnionych, która stanowiłaby też ośrodek najwyższych inicjatyw, studiów, publikacyj itd. w zakresie budownictwa. W jej kompetencji w dużej mierze należałaby też opieka nad zabytkami przeszłości.

Sprawa opieki tej jest o wiele większej wagi, niż się naogół, mimo istniejących u nas ustaw i nakazów, wydaje. Przeszłość, w szczególności ta, która zaklęta jest w architekturę, ma olbrzymie znaczenie wychowawcze, gdyż „z rumowisk starych cywilizacyj, z ruin prawiecznych pomników duch piękna porywa się i opanowuje nowe pokolenia". Renesans i romantyzm niemało tego dostarcza dowodów, a nie są to okresy dziejów europejskich, którychby się wstydzić należało. Dlatego też, szczególnie obecnie, po tylu, nieraz barbarzyńsko celowych zniszczeniach na ziemiach naszych, zachodzi konieczność zintensyfikowania tej pracy. Osiągnąć to można za pomocą zwiększenia ilości konserwatorów, dodania do każdego urzędu konserwatorskiego przynajmniej jednego architekta, obeznanego z konserwacją architektury, oraz za pomocą przymusowej inwentaryzacji wybitniejszych dzieł sztuki, znajdujących się w rękach prywatnych, w instytucjach, a także kościołach, w związku zaś z tym ostatnim punktem powinien być zmieniony w odpowiedni sposób konkordat, aby piecza konserwatorska nad zabytkami, a także nad ruchomym inwentarzem zabytkowym w kościołach, nie napotykała na trudności. Z tym wszystkiem jednak oprzeć się należy na prawdzie bijącej w oczy, że zabytek przeszłości, aby stał się dla szerszego ogółu zrozumiałym i oddziaływał na kulturę społeczności, musi się związać z potrzebami tego ogółu, nawet nietylko duchowymi, ale i materialnymi. Musi żyć razem z ludźmi, a nie być, jak się to często zdarza, niezrozumiałym ciężarem „narzuconym przez władze konserwatorskie". Dlatego lepiej jest budynek zabytkowy, jeżeli są po temu dane, nawet częściowo odbudować i oddać do użytku, niż pozostawiać malowniczą ruiną. Jeżeli jednak musi pozostać ruiną, wówczas konserwować go w ten sposób, aby mógł jeszcze spełniać swe zadania kulturalne. Naturalnie, decyzja musi być powzięta z rozwagą. Taki sposób traktowania zabytku architektury winien być stosowany tam, gdzie tempo życia stwarza łatwość nieliczenia się z zabytkiem, np. w większych miastach, ośrodkach fabrycznych

http://rcin.org.pl

itd., następnie na kresach, gdzie świadczyć ma on o obecności naszej kultury. Prócz tego koniecznym jest w każdym okręgu tworzenie rezerwatów przyrody, budownictwa, skanzenów, mających tak ogromne znaczenie wychowawcze.

Aby jednak sprostać tym zadaniom w związku z opieką nad zabytkami, trzeba wciągnąć do pracy szerszy ogół. Uczynić to można za pomocą popierania poważnych towarzystw naukowych, zajmujących się tymi sprawami, a nawet zorganizowania nieraz pracy ich wspólnie z konserwatorami. Członkowie tych towaszystw mogą działać jako biorący udział w radach konserwatorskich lub jako przedstawiciele komórek opieki konserwatorskiej. Mogą też towarzystwa te tworzyć pracownie dla projektów robót konserwatorskich i przy odbudowie zabytków pracownie - warsztaty, wykonywujące konserwację, oraz zajmować się publikacją prac naukowych. Ogromne usługi oddać mogą ich członkowie jako organizatorzy i kierownicy kół i kółek, złożonych z dorosłych i młodzieży, dla czynnej opieki nad zabytkami, propagandy itd. Ten czynnik jest tymbardziej ważny, że praca taka wiąże życie zabytków kultury naszej w sposób najwłaściwszy, bo nieurzędowy, z ludźmi żywymi. Doniosłe znaczenie miałoby i to również, by Zakłady Architektury Polskiej przy politechnikach wyposażyć można odpowiednio i umożliwić im poszukiwania oraz publikowanie wyników badań naukowych, przyczem Zakłady te miałyby charakter oficjalny, odgrywały rolę kierowniczą w tej dziedzi nie dla całego państwa i zajmowały się badaniami oraz inwentaryzacją architektury polskiej. Wspomnieć też trzeba, iż pożądanym by było opracowanie i wydanie podręcznika naukowej i fachowej konserwacji zabytków architektury oraz drugiego — historii architektury polskiej, zapoczątkowanie popularnego wydawnictwa ilustrowanego, poświęconego monografiom o budownictwie polskim oraz sporządzenie naukowego, rozumowanego przewodnika po polskiej architekturze. Aczkolwiek nie należy to ściśle do badań nad budownictwem, należy także jaknajwydatniej wyposażyć prace prehistoryków, by drogą badań dojść najstarszej przeszłości naszej ziemi i ukrytej w niej prawdy.

Wszystko to, pomiędzy minionym a idącym, to prace ogromnego wymiaru. Wymagają one natchnienia, woli, wysiłku, śmiałości, rozumu i wszystkich siedmiu cnót głównych, które nie tak łatwo sprowadzić na tę „tylko ziemię". A jednak muszą być dokonane, gdyż wymaga tego suprema lex, Salus Reipublicae. Muszą być dokonane, aby nie skarżył się kiedyś znów jakiś wielki samotnik:

O, gdybym jedną kaplicę zobaczył
Choćby, jak pokój ten, wielkości takiej,
Gdzieby się polski duch raz wytłumaczył...

Raz więc wreszcie niechże się polski duch wytłumaczy! Od tego przecież zależą losy dalekich, niedojrzanych, nieprzeczuwanych jeszcze pokoleń.

KU TRZECIEJ WOJNIE

Żołnierz frontowy, czytamy coraz częściej w prasie niemieckiej, nie lubi wielkich słów. Milczy lub rozmawia o rzeczach najprostszych. Frazeologia zafrontowa drażni go. — Kto umie czytać między literami wie, że żołnierz niemiecki stał się nieczuły na hasła i idee, które mu nie były bynajmniej obojętne w chwili, gdy wyruszał na wojnę, czy nawet, gdy miał już za sobą rok lub dwa linji bojowej.

Żołnierz armii alianckiej, słyszymy z innej strony, często i napróżno zadaje sobie pytanie o co walczy. Wytężone wysiłki zafrontowe, aby go podnieść na duchu i zjednoczyć, jakimś jednolitym, wspólnym hasłem, zawodzą. Najskuteczniejszą odżywką duchową pozostaje mu wobec tego gniew, przeciwko tym, którzy zamącili spokój świata.

Żołnierz armii sowieckiej, zechcą nas upewnić od Wschodu, wie o co walczy i chętnie to głosi. Jeżeli mu się przysłuchamy, usłyszymy rzeczywiście hasła najgrubszego kalibru. Ale zaufanie do nich kończy się dokładnie tam, gdzie w danej chwili sięga linia pochodu armii sowieckiej i dokąd sięga bystre oko i ucho politruka. Co pozatym myśli żołnierz sowiecki nie wiemy, bo go nie pytają o zdanie.

W każdym z tych trzech wypadków idee i rzeczywistość obecnej wojny są w ostrym choć różnym rozdźwięku. Każdy bieżący dzień zmagań pogłębia go tylko i rozszerza. Jeżeli bowiem hasła i idee rozdymają się coraz to bardziej i chcąc nadążyć za rozmiarami dokonywującej się katastrofy i objąć olbrzymie jej sprzeczności, sięgają po coraz to bardziej zawrotne koncepcje ustroju świata, — psychika człowieka, znajdującego się w ogniu kurczy się coraz bardziej, nabiera skromności i skłania się do poprzestania na rzeczach i prawach najbardziej koniecznych i najłatwiej zrozumiałych. Ani jeden ani drugi proces nie wróży jednak rozwiązania kolosalnych trudności, które pono spowodowały tę wojnę i nietylko, że z biegiem jej nie zostały pomniejszone ale wręcz spiętrzyły się do coraz to większych rozmiarów, tak, że dopiero dziś, w piątym roku wojny, połączonej przecież z kolosalną batalią psychiczną ujawnia się fakt, w jakich sidłach był i jest uwikłany świat. Widmo wojny, jak jedni chcą, drugiej, inni trzeciej, wyrasta też zdymu dzisiejszych pogorzelisk. Świadomość, że zejdziemy z pola bitew, nierozstrzygnąwszy zasadniczych sporów ani nie wypaliwszy wszystkich ich głównych zarzewi staje się coraz bardziej powszechną. Znużony wojną człowiek przestaje zatym rozważać o przyczynach dla których wyruszył w

http://rcin.org.pl

pole i marzy w głębi ducha o okresie pokoju, chociażby tylko na jedno pokolenie.

Klucza do istoty tej wojny nie łatwo znaleźć i nie ma terminu czy nawet dłuższej definicji, któraby jednolicie i zrozumiale dla wszystkich określiła o co idzie walka. Gdyby to była wojna, jak się mawiało i jeszcze czasem mówi, „religijna" (przyczym musielibyśmy przyjąć, że poglądy tego rodzaju, jak faszyzm, komunizm, demokracja zasługują na miano wyznania wiary nowoczesnego człowieka) — to podział walczących stron musiałby być o wiele jaśniejszy, niż się go dzisiaj widzi. Wielkie pytanie, czy demokracja jeden z kombatantów jest bliższa w swojej istocie komunizmu czy faszyzmowi, nie zostaje bowiem bynajmniej rozstrzygnięta prostym przymierzem aliantów z Sowietami. Jeszcze kłopotliwszą byłaby odpowiedź, czy komunizm i faszyzm nie są o wiele bliższe sobie, niż każdy z nich demokracji. Znamy przecież z przed wojny wspólny ich i prawie że identyczny język w stosunku do znienawidzonego świata demokratyzmu. Znamy ich teorie nadrzędnego interesu zbiorowości, różne chyba tylko barwą a nie istotą rzeczy a zwrócone zato z całą siłą przeciwko indywidualizmowi, tradycyjnej „religji" demokratów. Gdyby obóz demokratyczny pozostał poza sferą walki, jako macierz z której wyłoniły się dwie herezje, możnaby oczekiwać, że pożarłszy się wzajemnie powrócą pokornie na macierzyste łono. Ale macierz walczy i to nie jako czynnik trzeci, ale związana z jedną stron dla siebie nienawistnych. Widocznie została wciągnięta w walkę przez jakiś czynnik inny czy też zespół czynników nie mających wiele wspólnego z „religiami" XX wieku. Naiwne i przy całym zaślepieniu niemców nieszczere spewnością twierdzenie, że czynnikiem tym są żydzi z ich demoniczną mądrością i potęgą nie wytrzymuje, jeżeli już nie krytyki intelektualnej to rzeczywistości. Gdzież bowiem jest słynna potęga i mądrość żydostwa, jeżeli nie zdołała ona przewidzieć pogromu jaki ją spotkał w tej wojnie właśnie ze strony niemiec?

Może jednak odstąpimy od efektownej ale całkowicie nieistotnej teorii wojny „religijnej" i spróbujemy przesunąć zagadnienie na inną płaszczyznę, założywszy, że świat podzielił się na dwa obozy: nacjonalistyczny i internacjonalistyczny. Pozornie obraz ten jest bardziej kuszący. U obu bowiem „sprzymierzeńców", tak trudnych do pogodzenia na płaszczyźnie wspólnoty religijnej, t. j. Rosji i Angloameryki, dojrzymy wcale już wykształcone dążenia do nowego typu cywilizacji, wyrażające się z jednej strony w panamerykaniźmie czy panimperializmie brytyjskim — z drugiej w komunistycznej międzynarodówce, względnie w rosyjskiej Eurazji czy panslawii. Nie można również zlekceważyć faktu, że Liga Narodów, pierwszy zrealizowany zamysł stworzenia instytucji międzynarodowej powstał z marzeń amerykanina, — międzynarodówka zaś socjalistyczna, nim znalazła swoją siedzibę oficjalną w Rosji, wyrastała i rozwijała się na Zachodzie.

A jednak ten logiczniejszy na pozór podział jest niedoprzyjęcia. Tak bowiem, jak z jednej strony znajdziemy w łonie panimperializmu anglosasów olbrzymie rysy i sprzeczności, chociażby w postaci tak ogromnych spraw, jak Indie Angielskie czy Ameryka łacińska, tak jak i międzynarodówka sowiecka zawiera w sobie głębokie skazy pochłoniętych a niestrawionych narodów bądź też pretensji do pochłonięcia innych, wbrew woli i życzeniu — tak z drugiej strony widzimy, iż państwa, które weszły w wojnę pod sztandarami nacjonalizmu, wywiesiły rychło hasła szerszych, międzynarodowych wspólnot w rodzaju niemieckiej Paneuropy czy japońskiej Panazji. Szczerość wiary niemieckiej w „Europę" można coprawda zakwestionować łatwo, nie popełniając błędu. O wiele trudniej byłoby jednak wykazać, że Japonia ma mniejsze prawo moralne i mniej uzasadnione powołanie do „oswobodzenia" Azji od Rosji czy Ameryki. Najtrudniej już uzgodnić internacjonalizm i jego taktykę w stosunku do państw i narodów znajdujących się w jego wojennym obozie i wyłączonych dziś poza nawias politycznej i moralnej gry, jak Polska, państwa bałtyckie, bałkańskie i wreszcie wszystkie inne. Surowy i brutalny obrót, jaki wziął internacjonalizm w obu walczących stronach wskazuje ponad wszelką wątpliwość, iż idee międzynarodowe, w dzisiejszym ich stadium rozwojowym oznaczają w rzeczywistości nic innego, jak hegemonię a może i tyranję wielkich społeczności narodowych nad mniejszymi. Argumentem przytym moralnym, który ma rozstrzygnąć prawo przewagi jednych nad drugimi jest wojna i jej wynik orężny. W ten sposób pojęty i wykonywany internacjonalizm byłby tylko zdegenerowanym nacjonalizmem, gdyż w rdzeniu wielkich ustroii międzynarodowych, które mają prawo przynieść pokój skłóconemu światu nacjonalistów gnieździłby się przemożny interes bardzo niedużych stosunkowo i wąskich narodowych grup. Dla Paneuropy niemieckiej oznaczałoby to dojście do władzy Prus, dla Imperium Brytyjskiego władzy Anglii (wyspy) dla międzynarodówki komunistycznej władzę wielkorusów dla Panameryki władzę yankesów. Żadna dialektyka, najbardziej choćby humanistyczna nie zmieni faktu, że „równość" i „wolność" narodów, zrzeszonych w międzynarodówkach polega tylko na zależności wszystkich mniejszych wobec jednego, stojącego u władzy. W dziedzinie ducha oznaczałoby to przelityzm każdego z nich wobec kultury, która zostanie mu narzuconą.

Warto tutaj zdemaskować pewną grę, stosowaną uporczywie wobec Polski, która, pozostawszy w obozie demokratycznym, najsilniej manifestuje swoje prawo do pełnego i samodzielnego, narodowego życia. Znany nam jest fakt wywierania na nas nacisku, przez pomawianie naszej reprezentacji, jak i wielu (prawie wszystkich) kierunków myśli politycznej o faszyzm. „Faszystą" był generał Sikorski, faszystą jest Prezydent Raczkiewicz, gen. Sosnkowski, faszystami są członkowie rządu i organizacje polskie. Zatrute te strzały padają, rzecz jasna, z Moskwy, znajdują jednak posłuch i na Zachodzie, zwłaszcza, gdy zachodzi możliwość pomieszania faszyzmu z nacjonalizmem lub „reakcją". A jednak my wiemy dobrze, że ani Polska Piłsudskiego nie była faszystowską, ani tym mniej wszystko, co po niej nastąpiło. Nacjonalizm zaś, w rozumieniu naszym oznaczał raczej przywiązanie do własnej ziemi, własnego typu kultury i narodowej wolności, niż chęć gwałtownej ekspanzji naszych pojęć i umiłowań na zewnątrz. A jednak widzimy, jak chęć stanowienia o sobie zostaje przemianowana na faszyzm, który nabiera przez to niejako szlachetności i zbliża się do pojęć moralnych, rozumianych dotychczas przez nas jako jedne z kar-

http://rcin.org.pl

dynalnych praw demokratycznej cywilizacji. Trudno zaprzeczyć, że nacisk wywierany tą drogą na naszej opinii, tak tu, jak i w większej mierze zagranicą, wywołał u słabszych ludzi i grup społecznych pewną lękliwość, aby, broń Boże, stojąc zbyt twardo przy swoim, nie być posądzonym o niedostateczną lojalność czy „ideowość" demokratyczną, przez co zwiększa się tylko zamieszanie pojęć, sprzyjające aneksjonizmowi rosyjskiej międzynarodówki. Miejmy jednak nadzieję, że „faszyzm" w ten sposów pojęty ugodzi koniec końców jako zarzut w dzisiejszych sprzymierzeńców Rosji lub w każdy czynnik, który jej się zechce przeciwstawić.

Dla całości zagadnienia należy wreszcie wspomnieć i o rasistowskich założeniach tej wojny, aczkolwiek zostały już całkowicie opuszczone i skompromitowane. Nordyckie teorie Niemiec o jedności świata północnych germanów obaliło odrazu na wstępie wojny znalezienie się we wrogim im obozie narodów, tak bezprzecznie nordyckich, jak Norwegia, Dania — w sense moralnym i Szwecja. Drugie sztandarowe hasło rasizmu, przeciwstawiające rasę białą mongolskiej, z rościągnięciem mongolizmu na Rosję, zachwiał sojusz niemiecko japoński a obaliło ostatecznie szerokie otwarcie ramion armii niemieckiej dla wszystkich właśnie mongołów i mongoloidów rosyjskich wziętych do niewoli. Któż nie pozna w wałęsających się na tyłach linii bojowej kałmukach i „czubarykach" w mundurach niemieckich, owych skośnookich i szerokich twarzy, którymi w początku wojny z Rosją, zohydzić chciała „barbarzyństwo i bestialstwo" rosyjskiego „Wschodu" propaganda niemiecka? Jeżeli pozbawiony tak gruntownie swych podstaw rasizm niemiecki „odbił się" potem na żydach ze znaną, okrutną bezwzględnością, to przecież nikogo tym nie przekonał (i chyba nie zamierzał przekonać, zataiwszy rozmiar i zgrozę pogromu przed własnym narodem) a tylko pokalał się bezprzykładną zbrodnią.

Wymienione trzy zasady — nie wyczerpują, rzecz jasna, wszystkich prób scharakteryzowania jej głównej istoty. Są jeszcze i diapazony inne, w rodzaju proroctw o katastrofie czy też zmierzchu kultury świata albo też olbrzymiego jej przesilenia, po którym zacznie się całkiem nowe, nieznane nam jeszcze życie. Efektowność i oczywistość wizji tego rodzaju zdaje się narastać w miarę wzrastającej ilości czcigodnych ruin. Ogólnego i głębszego znaczenia mieć jednak nie może, gdyż żadna z wojujących i zatym niszczących kulturę stron nie sądzi, aby reprezentowana przez nią czy też „broniona" kultura chyliła się do upadku, a zarzut ten stawia tylko stronie przeciwnej. Słowo „barbarzyńca" jest tylko popularne jako definicja przeciwnika. Gdyby istnieli dziś na świecie pacyfiści, czy też przeciwnicy tej wojny jako takiej, niezależnie od tego, kto, jak i w imię czego ją prowadzi — oni jedni mieliby prawo mówić o upadku czy zmierzchu kultury. Ale pacyfistów nie ma. Każdy gdzieś, po jakiejś stronie walczy w imię kultury. Zbytek a nie brak zaufania we własne moralne siły jest przecież klęską tej wojny.

Cóż jednak zostaje? — Jakkolwiek zawodnymi okazałyby się wszelkie wielkie teorje i hasła — nie sposób przecież dopuścić, aby wojna obecna była tylko bitką rozwścieczonych narodów, wywołaną przez afekty i uprzedzenia a podsycaną przez osławione „plamy na słońcu". Otóż są pewne, niezbyt może efektowne i fascynujące „nowoczesną" umysłowość sprawdziany, dozwalające, nam zwłaszcza polakom, zorientować się w wojennym chaosie, bez sięgania do zawodnej i coraz to dalszej od rzeczywistości problematyki. Stara, znana nam już zaborczość pruska z całą jej pychą i brutalnością, równie stary aneksjonizm rosyjski ze swoistym mu, podstępnym i swoistym okrucieństwem, wytrzymały najlepiej próbę naszych apokaliptycznych dni. Skoro postawimy tezę, że narodowy socjalizm okazał się tylko narzędziem do podboju świata przez prusaków, komunizm zaś stał się tym samym w ręku Rosji, będziemy mogli uzasadnić tę wojnę o wiele prościej i łatwiej, niż gdybyśmy się posługiwali wielkimi, ogólnoświatowymi koncepcjami idealistycznymi.

Na dalszej od nas arenie świata nie ma coprawda już tak wyraźnego obrazu, z wyjątkiem Japonii, gdzie szintoizm jest nieskrywanym zresztą i jawnym orężem w ręku narodu japońskiego, szukając sobie miejsca na kontynencie azjatyckim i na oceanie. Czy jednak demokracja nie jest podporządkowana interesom imperium brytyjskiego w dzisiejszej jego postaci? Czy nie ułatwia drogi yankesom, gotowym dziś do wielkiego wypadu na szeroki świat?

Nie można i nie należy lekceważyć prądów historycznych, socjalnych i humanistycznych o ogólnym, uniwersalistycznym charakterze. Polska dawiejnością swoją i nie zdecydowaniem popełniła pod tym względem w czasie pokoju wiele ciężkich błędów, za które płaci dziś krwawo i boleśnie. Pewne jest jednak równocześnie, iż rozgrywką między nimi o natychmiastowym i decydującym charakterze nie jest bynajmniej wojna, w której biorą górę proste i naturalne dążenia i namiętności człowieka. Żadna wojna w historii nie przyniosła zdecydowanego zwycięstwa tej czy owej idei. Terenem walk ideowych ich zwycięstw i klęsk są czasy pokoju. Nie wojny krzyżowe rozstrzygnęły sprawę pomiędzy chrześcjaństwem a mahometanizmem. Wojny napoleońskie skończyły się klęską demokracji, która dopiero później w ciągu stulecia pokoju zdobyła sobie świat. A przecież układ sił był wówczas o wiele jaśniejszy, niż dziś a wynik wojny uchodził za bezapelacyjny.

Pogrom ideii, dokonywujący się w obecnej wojnie już w czasie walk, świadczy, że i tym razem nie będzie wyjątku. Chcąc ją przeto rozegrać ze stanowiska polskiego powinniśmy okazać jaknajwięcej zimnej krwi wobec haseł i stanowisk ideowych i pilnować przedewszystkim najbliższych nam interesów, bo te właśnie, a nie nic innego zdecydują o wyniku wojny.

Ze wschodu mamy więc do czynienia przede wszystkim z namiętnością władzy, swoistej wielkoruskiej w Moskwie — z zachodu z żądzą posiadania Niemiec, skrystalizowanych w Prusach i Berlinie. Sprzyjającą nam siłą jest wybróbowana władczość angielska i rwąca się do próby władczość yankesów. Cudów nie będzie. Nikt tu się nie zamieni w anioła, ani nawet w rezonera. Pilnujmy granic Polski i jeśli nie zostaną zrespektowane, czekajmy na trzecią wojnę.

http://rcin.org.pl

SPOJRZENIA

Banzaj

W gmachu Sukiennic krakowskich otworzono dostępną tylko dla niemców wystawę dzieł sztuki japońskiej. Na otwarcie jej przyjechał z samego Berlina ambasador japoński, który wyraził podziw, że zbiór dzieł artystów Nipponu, jeden z najcenniejszych w Europie, znalazł się w Krakowie i poucza niemców o kulturze zamorskiego kraju, pogłębiając przyjaźń sprzymierzonych narodów i zbliżając je do siebie. „Sfery" miejscowe, reprezentujące starożytne, niemieckie miasto Kraków, przełknęły komplementy z zimną krwią i dodały od siebie parę krzepiących mów. Niewinny ten wypadek ma, jak zawsze w G. G. „pikantne" tło. Zbiory sztuki japońskiej w Krakowie są własnością miasta. Zakupił je swego czasu, bodajże już w Niepodległej Polsce, zarząd miejski od słynnego zbieracza, artysty i miłośnika Wschodu, Feliksa Jasieńskiego, który w zbiór ten włożył swą wiedzę, trud swego życia i zapał dla sztuki Wschodu. Feliks Jasieński był Polakiem. Należał do grupy krakowskiego „Życia", przyjaźnił się z Przybyszewskim, Wyspiańskim. Ponadto miał pono w sobie coś z semickiej krwi... Drobnostki owe przypominamy z okazji święta niemiecko - japońskiego, przypuszczając, że może... jednak... mimo wszystko mają one swoje znaczenie i nie są nieznane dyplomacie ze Wschodu.

Aneksja Bohaterów

Byłoby ciekawą rzeczą ustalić, kto, kiedy i w jakich warunkach wpadł na to w Rosji Sowieckiej, aby z postaci Naczelnika Tadeusza Kościuszki zrobić sztandarowego bohatera dla rozsadzania Polski od wewnątrz i torowania do niej drogi rosyjskiemu bolszewizmowi. Wybór, nie ma co przeczyć, jest zręczny. Kościuszko da się bowiem „zainterpretować" rewolucyjnie, przemawia do chłopa i patriotycznego inteligenta, jest dobry dla Ameryki, dla Szwajcarii... Mamy zatym dywizję Kościuszki, radiostację Kościuszki, książki o Kościuszce i obchody Kościuszkowskie. Ostatnio niepokojono znowu prochy wielkiego Polaka, urządzając mu w Moskwie akademię z wystąpieniami polaków, rosjan, białorusinów itp. — Był czas, że z sowieckim Kościuszką rywalizował sowiecki Mickiewicz. Ale... jakoś Mickiewicza poniechano. Być może, że jakiś miarodajny spec przeczytał uważniej jego dzieła i znalazł w nich zadużo „ukłonów". Poczem zaprosił do siebie patriotów polskich albo już osobiście Wandę Wasilewską i wytłomaczył im, że lepiej nie... „Łutsze uż ostaniem sia pri tawariszcze Kostiuszkie"... Patrioci posłuchali. — Ich rzecz, myśli sobie opinja polska, nie zastanawiając się głębiej nad iście rosyjską bezceremonjalnością pouczania drugiego narodu, kto powinien być jego bohaterem na dzień dzisiejszy i dlaczego. Ciekawa rzecz, coby powiedzieli rosjanie, gdybyśmy tak zaczęli przebierać ich postacie i tłumaczyć im kto był większy i dla nich bardziej odpowiedni: Suworow, Kutuzow czy Paskiewicz, Puszkin czy Gogol, Dostojewski czy Gorkij? Lub, organizując u siebie białogwardiejców dawali ich formacjom historyczne, rosyjskie nazwy?... Zaiste! nigdy taka myśl nie przyszłaby nam do głowy. Niech rosjanie decydują sami, nawet gdyby to miało być dla nas tak przykre, jak czerwony order Suworowa, pogromcy wojsk Kościuszki i sprawcy rzezi Pragi. Dlatego też dobrze byłoby dla stosunków polsko - rosyjskich, aby pamięć Naczelnika pozostawić w Moskwie w spokoju.

http://rcin.org.pl

Słowo honoru

Zbliżająca się walna rozprawa w tej wojnie wprawiła w chwili, gdy nad Niemcami szumią dniem i nocą samoloty nieprzyjacielskie a od Zachodu i Wschodu zbliża się chmura inwazji, w ruch cały potężny aparat agitacyjny, jakim rozporządza Rzesza. W pierwszej linii duchowej ofenzywy, kroczy, rzecz jasna, partja narodowo socjalistyczna, duch i nerw Hitlerowskich Niemiec. Na zjazdach i meetingach i odprawach, urządzanych dla jej adeptów, członków i działaczy odbywa się masowo, w patetycznych warunkach, ponowne zaprzysięganie na wierność Führerowi. Przemowy, manifestacje, twarze wreszcie ludzi, jakie widzimy na licznych ilustracjach świadczą o silnej jeszcze dyscyplinie wewnętrznej. A jednak nie sposób przecież zadać pytania, ile razy człowiek może powoływać się na swój honor w stosunku do jednej i tej samej sprawy. Raz i tylko raz. Żadna procedura na świecie nie zna ani nie uznaje powtórzenia przysięgi ani słowa honoru. Nawet żołnierz, wyruszający na wojnę nie powtarza słów wierności, złożonych swemu sztandarowi w czasie pokoju. Pomimo więc pozorną spontaniczność demonstracyj, musimy w nich upatrywać wyraz nieufności wewnętrznej i niepokoju, jaki owładnął Niemcami w piątym roku wojny. Przypomina się tu aktywizacja partji faszystowskiej w przededniu załamania się Włoch.

Nieposkromione języki

Ostatnio obiegała Warszawę taka opowieść: pewien obywatel miejscowy pożyczył przyjacielowi znaczną sumę pieniędzy. Przyjaciel ów przyszedł do niego rychło z hiobową wieścią, iż pieniędzy nie mógł oddać, gdyż został napadnięty przez bandytów i ograbiony. Kiedy kredytor wyraził powątpiewanie w opowieść poszkodowanego, ten oświadczył, że w jednym z napastników poznał jego własnego syna. Poruszony podejrzeniem obywatel i ojciec zrewidował nocą rzeczy i ubranie syna. Znalazł gotówkę i dwa rewolwery. Po wstrząsającej rozmowie z synem, gdy poznał cały jego cynizm, zastrzelił go i oddał się w ręce policji. — Historia wyruszyła na podbój miasta, zbrojna odrazu w nazwisko znanego obywatela, któremu zdarzyło się to nieszczęście. Skoro stwierdzono, iż ów w ogóle nie miał syna w domu i sam cieszy się najlepszym zdrowiem, przesunięto ją natychmiast na kogo innego. Skoro i ten się nie nadał, na kogo innego, siejąc po mieście niepokój i czyniąc krzywdę ludziom. Aby tylko utrzymać bredni przy życiu. — W parę dni później gruchnęła z kolei wieść, że radio moskiewskie nadaje nieustannie wiadomość o jakiejś niebywałej zdradzie historycznej, która ma wydać się lada dzień. Setki ludzi biegało po mieście z tym, że słyszało ją na własne uszy a tyciące z tym, że dowiedziały się o tym z najpewniejszych źródeł. Wieść okazała się z palca wyssanym wymysłem. Puściła go ponoć czarna giełda dla wywołania zniżki dolara, co się rzeczywiście udało. — Przytaczamy dwa wypadki głupie i złośliwe, ale stosunkowo niewinne. Jest jednak wiele innych, które przynoszą szkody straszne i godzą wręcz w ludzkie życie. W roznoszeniu wszystkiego, co tylko wpadnie w ucho celują przedewszystkiem kobiety. Nie brak jednak i wśród mężczyzn bezwstydnych i zapamiętałych gadułów. Próżność pochwalenia się, że się coś wie, jest jedną z najwstrętniejszych chorób Warszawy i stoi na pograniczu szkód, które wyrządzają ohydne donosy, na tle osobistych nienawiści i zwad. Czas najwyższy, aby bezmyślnym przechwałkom i nieprzytomnemu plotkarstwu przeciwstawić się stanowczo, przywołując gadułów do milczenia, chociażby najbrutalniejszymi sposobami. Hamujcie języki rodaczki i rodacy. Wróg nietylko, że was słyszy ale, i pogardza wami.

Julian Tuwim, jako polityk

Prasa nasza doniosła niedawno, że znany poeta J. Tuwim, przebywający od kilku lat w Stanach Zjednoczonych „na emigracji", podpisał wraz z kilku osobistościami, należącymi do lewicy P. P. S. w Ameryce, apel do rządu polskiego w Londynie, by usunął, tak w przybliżeniu brzmi to, „z zarządu cywilnego i wojskowego wszystkie osoby niechętne Rosji Sowieckiej". Dziwne zresztą towarzystwo podpisało ten apel, między innymi p. Artur Szyk, malarz, nałogowy stypendysta polski. O ile

http://rcin.org.pl

wiemy, Tuwim po raz drugi w swym życiu miał sposobność zamanifestować swój stosunek do bolszewizmu. Pierwszy raz uczynił to w roku 1939 we Lwowie, kiedy poprostu uciekł do Rumunii przed zbliżającymi się wojskami bolszewickimi. Bardzo się potym rozpytywali o niego bolszewicy i nieprzyjemnie byli zdziwieni, że tak znakomity poeta uważał za stosowne przed nimi dać nura. Ale widocznie znacznie się od tego czasu musiały zmienić poglądy p. Tuwima, skoro teraz tak stanowczo doradza usunąć wszystkie osoby niechętne Rosji sowieckiej, swojej własnej niechęci z roku 1939 niepamiętny. Choć niewątpliwie wielka to różnica: rejterować na Szczęśliwe Wyspy, a innym doradzać włożeniu karku w obrożę, na którą samemu nie bardzo miało się ochotę.

Legenda nie-legenda

W czasie wojny poczęły u nas kursować wszelkiego rodzaju opowiastki, rzecby można legendy, które, aczkolwiek nie zawsze odpowiadają rzeczywistości, są jednak nieraz prawdziwsze od najprawdziwszej prawdy. Jedną z takich legend nie-legend powtórzymy.

U państw X, z których brzydsza połowa prowadziła jakieś znakomite interesy z Niemcami, poczęto przygotowania do urządzenia imienin pani domu. Jak przystało na nowobogackich i Geldhabów, rozgłaszać poczęto już naprzód, ile to dziesiątków tysięcy idących aż w setki przeznaczono na uświetnienie imienin. Z trzech części świata zebrał p. X dumny koniaki, szampany, likwory, wina, nalewki; wszystkie zakłady gastronomiczne Warszawy, oczywiście co nobliwsze, dostarczyły zakąsek, pieczystego, tortów, ciast, Bóg wie czego. Nadszedł wreszcie dzień radosny, obchodzony tak uroczystą wyżerką. Zebrali się liczni goście i poczęło się lać, co się zazwyczaj w takich okolicznościach leje.

Zabawa szła w najlepsze, gdy nagle dzwonek i wchodzi czterech panów pytających o gospodarza. Gospodarz wynurzył się wreszcie z tłumu gości, trochę przybyciem nieznanych postaci zaniepokojony, gdyż odrazu przyszło mu na myśl, że to chytre „podatniki", pragnący wykorzystać imieninową sytuację.

„Słyszeliśmy" odezwał się jeden z przybyszów, „że sprawia pan imieniny żony, i to imieniny, które ponoć kosztować mają aż setki tysięcy"?

„Ach gdzie znów setki", brzmiała odpowiedź, „chociaż przyznać muszę, że wydało się tam trochę więcej. Panowie rozumieją, imieniny żony... raz na rok"...

„O, rozumiemy doskonale", odpowiedział tajemnicy James. „Ale czy mógłby pan nas objaśnić, ile płaci pan na R. G. O."?

„Ach, muszę panu powiedzieć, że ta sprawa nie jest jeszcze uregulowana"...

„Tak? A ile płaci pan na P. C. K."? pytano dalej.

„Naprawdę, przykro mi niezmiernie, ale... i ta sprawa nie jest jeszcze ostatecznie uregulowana"...

„A ile płaci pan na Patronat Opieki nad więźniami"? brzmiało następne pytanie.

„Ach, nie wiedziałem nawet, że coś takiego istnieje", odparł gospodarz z rozbrajającym uśmiechem.

„Nie wiedział pan"? Jedno skinienie, pozostali towarzysze natręta schwycili za śnieżne obrusy i cała zastawa ze wspaniałą, świeżo gdzieś kupioną antyczną porcelaną „rodową", z wspaniałymi kryształami, a co najgorsze, z bezcennymi koniakami francuskimi, winami, nalewkami itd. itd. znalazła się w jednej chwili na podłodze, zmieniając się w kupę gruzu. Goście zamilkli i stanęli zamienieni w słupy soli. Rozległ się charakterystyczny klask i pan domu, znakomity pan X, dostał po buzi za to, że „nie wiedział" nic o Patronacie, ale wiedział, gdzie można otrzymać Martela. Dostało się coś tam i pani domu, solenizantce, także za nieświadomość. Gościom nie stało się nic.

Potem czteru „drabów" wybrało się do kuchni i tu dokończyło dzieła zniszczenia. I tu wszystko znalazło się na podłodze, podeptane nogami przybyszy. Aż żal było patrzeć, jak tłuste indyczki walały się na ziemi w nieodpowiednich sałatkach, jak wielkimi kałużami rozlały się smakowite sosy, w których brnęli brutale, nie mający zrozumienia dla uroczystości rodzinnych. Potem, gdy już wszystko, ku przerażeniu specjalnie zaangażowanego kucharza, stałej kucharki i służby, zostało na tą modłę spreparowane, zaproszono do kuchni w sposób chłodny, ale stanowczy szanownych gości, a jeden

http://rcin.org.pl

z przybyszów wskazując stosy mięsiwa pomieszanego z tortami, powiedział: „Jedzcie teraz, bo tak jedzą świnie".

Po tych jakże nieparlamentarnych słowach przybysze opuścili mieszkanie państwa X, pozostawiając ich i ich gości w zdumienie nad znikomością wszelkiego jadła i napitku.

Tak głosi legenda nie - legenda. Wyobrażamy sobie, jak to kiedyś, uderzając się w piersi, będzie pan X, znakomity pan X, opowiadał swym wnuczętom: „To były czasy! Na własnej piersi wytrzymaliśmy napór wroga, własną piersią broniliśmy"... Ale o owych fatalnych imieninach i o indyczych piersiach, tak niecnie spostponowanych przez „bolszewików", zapewne nie wspomni. Bo pamięć jest krótka, a życie długie.

Czkawka idealistyczna czyli jak trwoga to do Boga

Warschauer Zeitung z dnia 27 marca 1944 r. ogłosiła artykuł niejakiego p. dr. Franka Thierfeldera pt. „Duch Herdera" na temat niemieckiej „idei Europy". Oczy przecierało się, gdy się czytało te wywody! Nawiązując do pewnej wypowiedzi Herdera, stwierdza autor, że Herder „zdawał sobie jasno sprawę, iż wszelki jednostronny rozwój nacjonalizmu byłby dla Europy równie fatalny w skutkach, jak uprawianie humanizmu, negującego istnienie narodów". Nowa Europa, według Herdera, może oznaczać tylko: „związek (ludów) na podstawie dobrowolnie przyjętego dziedzictwa kulturalnego Zachodu", przyczym oczywiście nie może się to odbyć „metodami wschodnio - indyjskiej kompanii", znanymi już w XVIII wieku ze swej brutalności, i „z wykluczeniem uwodzących kunsztyków propagandy, za którymi kryją się nie konieczności przestrzenne" (co to? chyba to nie myśl Herdera tylko znacznie, znacznie nowsza?), „albo fakty historyczne, lecz majaki egoistycznych życzeń" (zawsze byliśmy tego mniemania!). Zdaniem p. dra Thierfeldera, do stworzenia takiego wolnego zespołu narodów nikt nie jest bardziej powołany od Niemców. To jest przecież ich idea państwowa, oparta na możliwie najszerzej pojętym liberaliźmie! Bo państwo niemieckie „przedstawiało właśnie przeciwieństwo zachodniej myśli państwowej, opartej na niwelacji obcych narodowości, nie mówiąc już o wschodnim, pożerającym ludy imperializmie". Jeśli bowiem „dla Niemca myśl państwowa daje się połączyć z zachowaniem odrębnego życia narodowego obcoplemiennych członków rzeszy, to cóż dopiero gdy chodzi o Europę, która w wyobrażeniu niemieckim nigdy nie zbiegała się z obrazem niwelującego północno - amerykańskiego związku stanów". (Patrzcie, patrzcie!) Oczywiście, „byłoby to — zdaniem p. dra Thierfeldera — niewłaściwe a także i niehistoryczne, gdyby ktoś chciał się spodziewać, że improwizowana fuga może równać się z rozinstrumentowaną symfonią" (aha! my przeżywamy więc teraz tylko „improwizowaną fugę" mordów, rabunków, zsyłek itp. Jakże to oględnie wyrażone!), ale w przyszłości wszystko „będzie dobrze", gdyż „jakkolwiek wyglądać będzie w szczegółach przyszła Europa, będzie ona musiała każdej indywidualności narodowej przyznać potrzebną przestrzeń życiową" (a myśmy dotychczas myśleli, że Lebensraum, to przywilej niemiecki) „i dlatego też przyznać zechce, gdyż współpracy tych indywidualności zawdzięcza ona swe istnienie". (Proszę!) „Zachodnie dziedzictwo kulturalne jest dziełem narodowego indywidualizmu", a i „narodowy socjalizm nie może zaprzeć się swego pochodzenia ze świata europejskich pojęć". No i na końcu c l o u rozważań thierfelderowskich: „kto sądzi, iż czas powstania wielkich politycznych tworów przestrzennych oznacza koniec małych narodów, ten okazał się bardzo krótkowzrocznym".

I my jesteśmy tego zdania, że „okazał się bardzo krótkowzrocznym". Trochę zapóźno naszła Niemcy ta czkawka idealistyczna, która bardzo dziś przypomina śmiertelną. Gdy pokazało się, że nie uda się zjeść Europy i przemienić jej w jeden Lebensraum niemiecki mit einem Herrenvolk, gdy trwoga zdjęła sprawców masowych mordów, jakich świat nie widział od czasów Dżyngischana, przypomniano sobie starego idealistycznego boga niemieckiego i jemu to pali ofiary p. dr. Thierfelder. Oczywiście wszystkie okropności, których sprawcami są Niemcy, to tylko „improwizowana fuga" Albo więc Pan Doktór poprostu łże, albo żyje na księżycu i z księżyca pisze artykuły dla Warschauer Zeitung. Jest jeszcze i trzecia ewentualność: łgarstwo i nieprzytomność tak się dziwnie łączy w niemieckiej duszyczce, że np. Völkischer Beobachter pozwolił sobie za londyńskim Timesem ogłosić fotografie powieszonych publicznie w Warszawie, na dowód jaką to Greuelpropagande uprawiają Anglicy. Czy nie lepiej zrobiłaby Szanowna Redakcja czołowego pisma nazistowskiego, zwróciwszy się w tej sprawie o informacje do urzędu p. Himmlera? A w sprawie prawdziwej idei państwa niemieckiego — też?

http://rcin.org.pl
akc. 294/65 K

http://rcin.org.pl

PII
428
1944

http://rcin.org.pl